Poetical works of
Roman Zmorski

Leipsic 1866

(Polish)

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM TRZYDZIESTY SZÓSTY.

POEZYE

ROMANA ZMORSKIEGO.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1866.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXXVI.

POEZYE

ROMANA ZMORSKIEGO.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1866.

Od dawna już nalegany o zgromadzenie i wydanie w jednym zbiorze rozproszonych poezyi moich, dzisiaj dopiero życzeniu temu uczynić zadość jestem w stanie. W tomie niniejszym starałem się zgromadzić wszystkie, o ile mi pamięć wskazać mogła, utwory, bądź oddzielnie, bądź w różnych pismach czasowych i zbiorowych poprzednio już drukiem ogłoszone — wydanie niedrukowanych jeszcze poezyi do dalszego nieco zostawiając czasu.

R. Z.

SPIS RZECZY.

LESŁAW.

SZKIC FANTASTYCZNY.

EDWARDOWI DEMBOWSKIEMU

w znak braterstwa i przyjaźni

13. października 1843.

OSOBY.

Nieznajomy.
Lesław.
Dziewica-Chmura.
Helena.
Rybak.
Śmierć.
Cztery Czarownice.
Chór Dziewcząt Wiejskich.
Topielcy. — Topielice.
Upiory. — Strzygi.

NOC PIERWSZA.

I.

Pogodna noc jesienna; nów księżyca; lekkie obłoki przeciągają po niebie. Pusta okolica u kamienia Twardowskiego pod Czerwińskiem.[1])

NIEZNAJOMY. LESŁAW.

NIEZNAJOMY.

Za chwilę kogut na północ zapieje,
Co chwila chłodniej wilgotny wiatr wieje;
Tak samotnego i o takiej porze,
Cóż na tem miejscu trzymać ciebie może?

LESŁAW.

Samotna cisza rosą jest krzepiącą
Dla duszy zgiełkiem niestrojnym znużonéj.
A kto rozpalił w piersi swojéj własnéj
Słońce dla siebie, dla tego dzień biały,
Równo z nocą chmurną, jasny.

NIEZNAJOMY.

Witaj mi więc! Po pierwszy raz
Spotkany, witaj znajomym mi!

LESŁAW.

Przecz że znajomym?

NIEZNAJOMY.

Bo ze twoich słów
Poznałem to, co najzacniejszego
W duszy twéj: — to, coć przywiodło tu.

LESŁAW.

Cóż?

NIEZNAJOMY.

Duszy twojej tajne pragnienie,
Nieukojone gwarem świata czczym.
Przyszedłeś w cichej nocy pokoju
Swobodnie dumać; i na głazie tym,
Który przed wieki trzema Twardowski,
Potężny mistrz, co sam ogarnął,
Wszystkie najwyższej skarby mądrości,
Wszechwładnej woli cisnął tu skinieniem,
By siły mędrca pozostał pomnikiem —
Tyś przyszedł tu, tajemnych dróg
K' mądrości badać. Witaj mi więc!

LESŁAW.

Mądrość ludzka jest jak labirynt ciemny.
Od wieków błądząc w jego krętych splotach,
Co chwila zda się, żeśmy uszli dalej,
Że coraz nową przebiegamy ścieszkę.
Przecież, na Boga! jedną tylko drogą
Kołujem, tysiąc powracając razy. —
Mądrość, to lśniące próchno leszczynowe —
Dotkniesz, rozsypie się w proch.
To motyl skrzący barw tęczowych blaskiem;
Bieżysz jak dziecko łakomie — ostatnie
Siły wytężasz, by pojmać dziw świetny —
Zaledwieś ujął, blask uroczy znikł. —
I miałżebym ja gonić za nią? Wartoż
Piąć się po szczeblach tej stromej drabiny,
Kiedy — sam rzekłeś — szczebel jej najwyższy,
W bezdennej piekieł otchłani się wsparł,
I ten go tylko zajął, co tam wszedł?

NIEZNAJOMY.

I tyżeś to rzekł?!... Jest tajemny blask —
W tysiącu ludzi jedno ledwie on
Objaśnia czoło — on zwiastuje skroń,

W której zamieszkał wielki, silny duch.
Na twojem czole goreje ten znak.
I tyżbyś nieznać miał, że żadna cena,
Nawet wieczności, nie jest wielką zbyt,
Jeżeli za nią można kupić wielkość?!

LESŁAW.

Wielkość!!..·potężne, czarodziejskie słowo!
Jakaż młoda pierś od jego dźwięku
Niezadrży wszystkich strón cudowną mową,
Jak harfa w mistrza ręku!...
O wielkości! ja czczę cię — i tyś nie obcą mnie!
Ni przyzywać mi cię trzeba mądrością;
Jam nad mędrców stokroć wielki — miłością,
Co w sercu mojem tchnie...
Tam, gdzie ślepnie blask słońc drogi mlecznej,
Serce me tam jasnemi wystrzela promieńmi,
I światy na kończynie światów ostatecznej
Promiennemi ima uściśnieńmi.
Wszystkich ludów niezliczone miljony,
Niebo, ziemię — przyszłość, przeszłość omgloną,
Cały ogrom życia w wieczności rzucony
Obejma kochające me łono...
O, jam wielki!.. Powiedz mi, krzyżową
Śmiercią mą, nędzom świata że położę kres,
A ujrzysz wnet — bez trwogi, bez ogrójca łez —
Krzyż nowy i Golgotę nową!
Ja nawet życie moje nieśmiertelne,
Ochoczy oddam na kaźni piekielne,
A ust moich boleści nie pokala jęk.
Patrząc na szczęście świata, z śród ognistych męk,
Pieśni nucić będę weselne!...
Jam wielki mą miłością — i wielkość mą pojąłem.
Wielkim jak świat, jak przestrzeń niezmierzona, —
Jak ten duch, którego ramiona
Wszystko ogromnem ogarniają kołem.
O mądrości! i cóż mi jeszcze, cóż?
Zdolne dodać wszystkie twoje wieńce,

Które niegdyś ceną wzniosłych dusz
Płaciły twe zapaleńce!...

NIEZNAJOMY.

Gdzie ich mądrości żądza zawiodła,
Miłość zawiedzie ciebie tam.
I każda, którą poszedłbyś, droga,
U piekła by się kończyła bram.
Piekło, to klątwa niczem nie zmazana,
Wiecznie ciążąca na duchach tych,
Co ogniem żądz, uczuć górnością
Zdeptali blade robacze żądze,
I karle tłumu uczucia. — Tak!
Ty stwierdzisz sam prawdę mych słów:
Znakiem przekleństwa geńjuszu znak!
Ty nosisz go. — Bądź zdrów.. —

(Odchodzi.)

LESŁAW.

Bądź zdrów.

II.

Dzikie pole między wzgórzami.

CZTERY CZAROWNICE.
Boso, w koszulach, z rzeszotami w ręku.[2])

1. CZAROWNICA.

Noc księżyczna — śliczna, śliczna!
Bujno padaj roso mléczna!

2. CZAROWNICA.

Padaj bujno, mléczna roso!
Jak z przestałych kłosów proso.

3. CZAROWNICA.

O giezłeczku jednem, boso,
Zbieram ciebie, mléczna roso!

4. CZAROWNICA.

Po młodziku, po wrześniowym,
Garnęć przetakiem lipowym.

CHÓR.

Noc księżyczna, — śliczna, śliczna!
Zbieram ciebie, roso mléczna!

1. CZAROWNICA.

Wierzchem rzeszót rosa ścieka:
Już donice pełne mleka.
Chmury ciągną — nów nam świeci —
Ubieżało nocy pół; —
Sama pora! dalej dzieci,
Żywo rwać do czaru ziół!

2. CZAROWNICA.

Matko Anno! jakich zieli,
Na jakiście to czar chcieli?

1. CZAROWNICA.

Zrobię dzisiaj czar miłosny. —
Widzieliście latoś wiosny
W naszym dworze pannę młodą?
Toć pamiętać ją musicie;
Bo przez całe pewno życie,
Między wszystką pańską dziatwą,
Nie przyjdzie wam spotkać łatwo
Drugiej z tak śliczną urodą! —
Choć to pańskie, cudem przecie,
Jakby anioł dobre dziecie.
Aż pomyśleć patrząc miło,
Że się mlekiem swem karmiło.
Jenoż dojrzy, że we dworze,
Starej mamki się nie sroma;
Nieda z psami stać za drzwioma;

I jak matkę ucałuje,
Ściska, pieści, uczęstuje,
Aż się odjąć człek nie może.
Ot, że słowem, tak ją pono
Kocham, jak córkę rodzoną. —
Aż żal patrzeć mi na dziewcze,
Że to dotąd panną jeszcze.
Bo wszak wiecie, że panieństwo,
Ciężki to, choć piękny kwiatek;
I że go w ośmnaście latek
Nosić, prawdziwe męczeństwo.

3. CZAROWNICA.

Oj tak! męczeństwo boleśne......
Mnie go znosić zbrakło mocy;
Za to mąż mi pierwszej nocy
Boki zbił na jabłko leśne.

4. CZAROWNICA.

Cóż ty na to?

3. CZAROWNICA.

Wzięłam węża,
Uważyłam w mléku z manną —
Nakarmiłam pana męża!

4. CZAROWNICA.

I cóż dalej? matko Anno!

1. CZAROWNICA.

Dotąd jeszcze moja Helka
Nie kochała. Szkoda wielka!
Nie wie co za skarby traci.
Straszna szkoda!... Dnia młodości,
Co zmarnieje bez miłości,
Życie całe nie opłaci!
Otóż, patrzcie! włos z jej głowy,
Włos jedwabny, bursztynowy —
Rwijcie jaskru i lubczyku,
I barwiczki i pokrzyku! [3])

Razem splotę je do wianka,
Na proch spalę, zaczaruję —
Kochająca i kochanka
Mnie za szczęście podziękuje.
A choć nieraz przyjdą chwile
Łez, boleści i rozpaczy,
Przy miłości, cóż to znaczy?
Ileż uciech za to — ile!...

2. CZAROWNICA.

A i kogoż z nią zaklniecie?
Komuż kochać ją każecie?

1. CZAROWNICA.

Samam chłopca jej wybrała,
Najlepszego com zaznała.
A choć zawsze zadumany,
Zawsze blady gorzej ściany,
Urodziwy jak nie wiele.
Ot — i jego włosów trocha,
Com w śnie ścięła mu na czele...
Jedno w drugiem się pokocha,
Potem wesele — wesele! —
Tylko żywo rwijcie ziele!

(Rozchodzą się, rwiąc zioła.)

III.

Wzgórza urwiste — na szczytach ich wiszą obłoki.

LESŁAW.

Krew wre, burzy się w żyłach mych — gorąca
Jak ołów roztopiony. A po mojej twarzy

Czuję jak chłód jesienny zimną rosą wieje.
I chciałbym, i silę się odetchnąć tym ostrym,
Przesiąkłym mgłami wiatrem, — by nim choć na chwilę
Ostudzić żar palący piersi me; — napróżno!
Tak okropnie twój ciężar ciśnie moje łono,
Nieukojona żądzo!...
Wszechmocna, jedyna,
Żądzo miłości! wierniejsza od cienia,
Tyś zawsze — wszędy ze mną; a samą swym cieniem
Takeś okryła wszystką moją duszę,
Że żadna inna żądza wznijść już w niej nie zdolna.
Ty, jak zazdrośna żona, na łożu mem w nocy
Przylegasz, i zawiścią bezsenna, na sennem
Sercu mojem badawczą rękę swoją kładniesz.
Okiem łakomie czytasz z twarzy mej myśl każdą,
Co nie o tobie była; — i wtedy szalona,
Ciśniesz mnie, by ocucić, w namiętne ramiona —
By w ciebie tylko patrzeć, słyszeć tylko ciebie.
Ty wszystkie głosy, wszystką ciszę ziemi
Zrobić swoim językiem umiałaś; i niemi
Wołasz mnie, mówisz bez przestanku ze mną...
Pomnę, gdy po tych górach, po dołach tych, wiosna
Rozwieszała majowe, lekkie swoje sploty.
Las młodym, bladym liściem dźwięczał, — smug kwiatami
Błyszczał cały, oskrzony, jak niebo gwiazdami.
Motyli, woniejących powiewów rój młody
Bujał wśród nich, rozkosznie — jak dzieci po łące,
Jak anieli po niebie; a z gęstwiny boru
Brzmiał chór setny słowików tęskną pieśń wieczoru...
W pieśń tę cudną, tyś wtedy wcieliła twe słowa.
I poczułem śród tego niezmiernego hymnu,
Nuconego harmońją i wonią i blaskiem,
Żem był sam, jako struna zerwana na lutni.
I samotność ta, męczarń była mi torturą.
Końcam młodzieńczej pory czekał niecierpliwie.
Zdało mi się, że serca cisnąć tak boleśnie
Nic nie zdoła, jak rozkosz niedzielona z nikim...
I oto — wiatr północny gwiżdże zimy wróżbą,

Kołysząc płowe rżyska i traw kity płowe.
Lasy się rumienieją, krasą suchotnika
Gorączkową, co śmierci poprzedza godzinę;
I wieszczbą dla natury zgonu, wieszczka siwa,
Posępna w leśnem gnieździe sowa się odzywa...
A ta piosnka zniszczenia sroższą mi trucizną
Piersi pali, rozdziera, niż wdzięk wiosny cały. —
Przecież nie śmierci trwoga boleści mej matką;
Jeźli zwalczyć niezdolny, niedrzeć zdolnym przed nią.
Ale jakże boleśnie patrzeć na to życie,
Którego nić co chwila rozerwać się może,
Niknące jak cień marny, jako śnieg przedwczesny,
Bez tych rozkosznych, pojących uniesień, —
Bez niepojętej współczucia radości, —
Bez twoich pałających uścisków, miłości!....

Darmoż? i darmoż po marzenia świecie
Skrzydlatą myślą twe rozkoszy gonię?
Nigdyż mnie boska woń twa nie owionie,
Miłości! ziemi najpiękniejszy kwiecie.
Nigdyż z ust lubej, ustami drżącemi,
Nie zgaszę żądzy, co w mem sercu pała?
Nigdzież? i nigdzież nie znajdzie na ziemi
Duszy, coby się z duszą wieszczą zlała!
Gdzież ciebie szukać? gdzież znaleźć? aniele!
Klnę ciebie świętym miłości wyrazem —
Do mnie, ach do mnie! na wieczne wesele, —
Do mnie, żyć i umrzeć razem!...
Ja dla twej białej, marmurowej skroni
Wieniec z gwiazd splotę zerwanych na niebie;
Ocean blasków i ocean woni
Rozleję w około ciebie —
I wysoko, wysoko nad światem nieczystym,
Wzniosęć w harmonii nieskończone morze;
I za życia niebios ci podwoje otworzę
W moim uścisku ognistym!...

(Wyciąga do uścisku ramiona.)

Uścisk mój spada na pierś moją własną,
Jak kamień w niebo gwieździste rzucony,
Na skroń zuchwałą. Gorące zaklęcia,
Z dzikim rozdźwiękiem w proch się rozsypują
O zimne piaski i zimniejsze serca.
Żądze i klątwy, daremne — daremne!...

Na szczycie stromego wzgórza rozstępują się obłoki — wśród nich, w srebrnym blasku miesięcznym, ukazuje się wsparta na skale

DZIEWICA-CHMURA. [4])

LESŁAW.

Cud — czy marzenie? Jakaż boska dziewica!...
Kibić jej lekka jak wiatr —
Jej ramiona, to śniegi nieskalanych Tatr —
W oku gromu błyskawica.
Jej uśmiech! — jak dźwięk pieśni w gór porannem echu,
Cała nadziemskich uciech tajemnica,
Całe niebo dumania w tym tęsknym uśmiechu
Z przeczystego jej przeziera lica.
O! na uśmiech ten, na żar co z ócz twych lśni,
Na błogość, co nim w duszę moją wniesłaś, —
Powiedz, o piękna! z którego nieba zeszłaś?
Kto jesteś? powiedz mi!...

DZIEWICA-CHMURA.

Gdy słońce zachodzi, gdy rumiane wschodzi,
Cudownie jaśnieje powietrzny mój dwór;
W topniejącem złocie, w purpury namiocie
Goreje wysoki tron królowej chmur.
Pioruny i wichry mojemi gońcami;
Na złocistej nowiu księżycznego łodzi,
Upiętej mgły lekkiej srebrnemi żaglami,
W krąg świat po błękitnej opływam powodzi.
Ja, ziemia w tajemnym gdy utonie mroku,
Schodzę, powszedniemu niewidzialna oku,
I kwiaty wonnemi rosy zmywam łzami,

Przelotnych ogników rozrucam iskrami;
Na szczytach samotnych wybujałych gór
Obłoków powiewne kotary rozwiewam;
I rzewną tęsknoty pieśń dla ziemi śpiewam,
A harfy powietrzne brzmią pieniom mym wtór...
I nieraz w mgły gęstej uwita płaszcz gruby,
Aż pokąd rumiany zabłysł świt na niebie,
Nuciłam dla ciebie — patrzyłam na ciebie,
Ja kocham cię — kocham, mój luby!
O pójdź w me ramiona! — ja ciebie osłonię
Płaszczem zapału i boskiej tęsknoty;
Aż serce ci całe rozpłynie się w łonie
Od żaru i lubości nieziemskiej pieszczoty!...

LESŁAW.

Jeszcze!... o przemów jeszcze! — Nuć mi tak bez końca!
Twój głos, to hymn słowików głoszący wschód słońca;
Gwar stu srebrzystych strumieni,
Kiedy się ze sobą zmącą;
Brzęk dwu gwieździstych promieni,
Gdy w przestrzeni o się trącą!
W duszę moją światłości przesiąka kroplami,
W pogodne szczęścia roztacza się zorze;
W nieskończone miłości rozlewa się morze —
Do ust twoich rwiącemi garnie mię falami...

DZIEWICA-CHMURA.

Ust moich wargi raz dotkną się czyje,
Niechże ziemskiej na wieki zrzecze się miłości.
W ust mych całunku piorun się kryje!
Grom ten na licu jego się rozgości,
I ziemską kochankę zabije.
A klątwy, i prośby, i łzy już najkrwawsze,
Zdradzonej, przebłagać nie zdoła mnie nic —
I uścisk, i uśmiech jasnych ducha lic
Na zawsze dlań przepadł, na zawsze!...

LESŁAW.

Przeklęte oko, co ciebie widziało,

I spocznie na licu ziemianki!
Przeklęte serce, co ciebie kochało,
I ziemskiej zapragnie kochanki.
Nie chcę ich objęć — zimnych jak ten głaz
Po którym depcą, — ich całunków mdłych!
O, ty mi tylko — ty mi pozwól raz
Odetchnąć wonią ust twych!...

(Upada w jej objęcia.)

IV.

Dwór wiejski śród ogrodu, otoczony kwieciem. — Dnieje.

HELENA

w białej nocnej szacie — w otwartem oknie domu.

Jakież marzenia po nad głową moją we śnie
Krążyły, wiały wszystkie wiosny wonie;
I wszystkie kwiaty maju siały na me skronie,
Boską mnie pieśnią zbudziły tak wcześnie?...
W sercu mojem tak lubo, rzewnie, niewymownie!
Jasne nadzieje i mroczna tęsknota,
Jak na tem niebie z nocy mrokiem jutrznia złota,
Tak się z sobą stapiają cudownie...
Niby zaczarowany świat wszystek dokoła
Taki jasny, promieniący, uroczy!
I wszystko tajemniczym na mnie głosem woła,
Tajemniczemi patrzy na mnie oczy.
A ja płonę, — drżę czegoś — czegoś blednę cała.
Lękam się, — pragnę, — sama niewiem czego!
I łzy same do ócz mi niewstrzymane biegą,
Jak gdybym łzami rozpłynąć się chciała.
Piersi, usta westchnieniom nastarczyć nie mogą —
Kogoś pragnę, wyglądam kogoś ze wszech stron!

Kogoż tak niecierpliwie wyglądam? — ach, kogo?
Za kim tak tęsknię? — ach! za kim?...

Z gęstwy drzew, z pochyloną na pierś głową, wychodzi zadumany Lesław.

HELENA.

To on!...

NOC DRUGA.

I.

Ogród otoczony żywym płotem — obok płotu z pożółkłych altana powojów; — w dali pola na pół zżęte. — Niebo na poły jasne, na poły zasłonięte ciężkiemi chmurami. — Zachód słońca.

HELENA
(sama, w altanie).

Och! serce moje! — Dzięki tobie, luby!
Za rozkosz tę, którą dałeś mi;
I Tobie Boże! dzięki Tobie — dzięki!...
Więc mnie nie zwiodły wieszcze przewidzenia
Mojego serca! on kochał — kochał mnie.
Tylko tak z wierzchu chłodnym lodem krył
Potok namiętnej miłości...
I czemuż krył ją tak długo przedemną?
Jam się nie kryła przed nim. — Każdem słowem,
Każdem spojrzeniem jam powiedzieć chciała:
Kocham Cię! — A on, taki obojętny,
Taki spoglądał na mnie roztargniony...
Ach! spoglądał tak rzadko!... I dla czegoż stronił,
Dla czegoż milczał tak? Czyliż nie wiedział,
Ile mógł szczęścia dać jednym wyrazem:
Kocham!...
I jakaż cudowna potęga
W słowie tem? Ono łańcuchem radości
Tak mnie splątało, żem do odpowiedzi
Próżno siliła usta; i jak dziecko

Uciekłam przed nim, w samotności do dna,
Kropla po kropli, by kielich wysączyć
Nowej, nieznanej słodyczy...
O matko moja! ty nie będziesz już
Nad łzami córki twojej płakać więcej;
I o łez źródło więcej mnie nie będziesz
Pytać!... Radośna, radośnej
Pobłogosławisz szczęściu, matko moja!...

W dali widać na polu, z sierpami na ramionach, powracającą od żniwa gromadę

DZIEWCZĄT WIEJSKICH

i piosnka przeciągła płynie po rosie.

PIEŚŃ GMINNA.

Kasieczka mała,
O świcie wstała,
Z białego łóżeczka.
Śpiewając je słała,
Bo dziś spać w niem miała
Obok swego Jasieczka.

Po porannym chłodzie
Chodzi po ogrodzie,
Rozmarynu szuka. —
Sówka popielata
Po drzewinach lata,
I żałobliwie huka.

— «O dziewczyno miła!
Co będziesz robiła
Z tym zielonym wiankiem?» —
— Główkę sę ubiorę,
Bo dzisiaj ślub biorę
Z Jasiem, moim kochankiem! —

— «Oj! będąż dzwonili,
Oj! będąż kadzili,
Nie do ślubu tobie!
Biedne twoje spanie,
Nie z Jasiem kochanie, —
W wilgotnym będzie grobie!» —

Dziewczyna się zlękła,
Do domu uciekła
Murawą zieloną.
Żmija wyskoczyła,
Kasię ukąsiła
Za nóżeczkę toczoną.

We dzwony dzwonili,
Kadzidła palili. —
W bieluchnej sukience,
Bez swego Jasieczka,
Przespała Kasieczka
Noc we twardej trumience.

HELENA.

Jakaż pieśń smutna!... Jak mogą ci ludzie
Pieśń taką nucić?... Smutny, dziki śpiew! —
Jak wiatr jesienny poobdzierał liść
Świeżo rozwity, z nadziei mej drzewa.
W każdym wyrazie, w każdej jego nucie
Do serca straszne dzwoniło przeczucie.
Radość uciekła przed nim, jak ptak z gniazda
Przed wzrokiem sowy... I czegoż się smucę?
Czegoż się trwożę?... o daruj mój luby!
Mnie nic nie zdoła smucić — nic zatrwożyć —
Bo ty mnie kochasz, — kochasz mnie, Lesławie!...

II.

Pole za ogrodem.

LESŁAW.

Sam.

Wstydu płomieniem zgórzcie, usta moje!
Usta moje wiarołomne!
Nikczemne sługi lubieżnego ciała,
Przysiąg i zaklęć świeżych nie pomne,
Słowa miłości rzekłyście niewieście. —
Takżeż? młodzieńcza, rozogniona krew
Do tylaż silna, woli ducha wbrew
Że nami rządzi? Jaż, do tylam słaby,
Także mnie zwodne urzekły powaby,
Żem drżący kocham u jej stóp powiedział? —
I prawdąż by to miało być wyznanie?
Kocham że ją? — Sam nie wiem odpowiedzieć jak! —
W sercu mem taki gwałtowny wre bój...
Dwa różne światy i miłości dwie
Walczą ze sobą. Zbuntowane ciało,
Duszy się wydrzeć berło władzy pnie.
Z rozwianą krwawą rokoszu chorągwią,
Żądze prą, walczą, łomią się straszliwie. —
A świat i ludzie i wszystko co mnie
Otacza tylko, sprzymierzone z ciałem,
W pomoc okropnym bieży mu nawałem.
Martwem mnie kołem rzeczywistość blada
Oprzędła w koło, jako liszka kwiat.
I czego spytam, wszystko odpowiada
Z zimnem szyderstwem, że zjawienie twoje,
Piękna dziewico! dziedziczko zaklętych
Powietrznych zamków — wysoka królowo!
Marzeniem było! — I ja z sobą sam —
Kłócę się, wierzyć — czy fałsz zadać mam
Tej ciżbie głosów?...

Czemuż, jeźli raz

Ust twych dotknąłem, widziałem twój blask,
Złoty twój z tobą nie uniósł mnie czółn
W czarowne kraje twoje? — czemuż trzeba
Było mi wracać z pieszczot twoich nieba,
Na brudną ziemię, kędy ich wspomnienie
Jawi się jako obłąkania sen?
Tu gdzie z błękitnych ócz pięknej dziewczyny,
Rozkosz nęcącym wabi mnie uśmiechem,
I otwartemi przyzywa ramiony...
I cóż więc? którąż stronę szal przechylę? —
Którą? — Ja pytam!... Przebóg! takżeż nizko
Spadłyście w locie? o pragnienia moje!
Jaż mam w te chłodne związać dłoń okowy,
Ustroić skronie w więdłych kwiatów wieniec,
I życie całe pić z bielonej czary
Ciepłą, mętami rozcieńczoną słodycz?
Którą gardziłem płonący młodzieniec,
Szydziłem w górnych porywie zapałów. —
O nie! — nie dla mnie takie karle szczęście!
Serce me wyższych przyzywa rozkoszy.
W jego płomiennych pragnieniach ja słyszę
Świadectwo prawdy twojego uścisku,
Powietrzna moja kochanko!
I czemuż
Miałbym się twego zaprzeć objawienia?
Czy że tak cudne i tak niepowszednie? —
Ja wierzę cudom, bo czuję żem godzien
Oglądać cuda; o! bo tu jest siła,
Co choćby w całym nie było go świecie,
Cud stworzyć zdolna! — O cudzie mój! nigdy
Ja cię nie zdradzę; — twoim jestem ja! —
Jedna godzina w objęciu twem zbiegła,
Ziemskie rozkosze opłaci sowicie,
Szczęściem zapełnić zdolna całe życie.
A przecież — przecież, tak mało już brakło,
By usta twojem poświęcone tchnieniem,
Na ustach ziemskiej spoczęły dziewczyny!
By cię na zawsze stracić!... Więc precz ztąd!

Precz z tej pojącej zmysły okolicy!
Precz wiecznie od niej!— Wiernym być ci chcę! —
Zwyciężaj duchu!...

(Odchodzi).

III.

Pusty, piaszczysty brzeg Wisły; — nad wodą wypruchniała, pochylona wierzba, u nagich jej korzeni uwiązane czółno.

Noc, — mgły wiszą po nad rzeką, — księżyc w pełni wschodzi z po za lasu.

CHÓR pod wodą.

Rosą świeci brzeg zielony,
Z lasu miesiąc wstał czerwony,
Opromienił wschód;
Skrzą się jasne gwiad źrenice —
Hej! topielcy, topielice,
Wstańcie z mokrych wód!

Chwila ciszy. — Wchodzi rybak z wiosłem na ramieniu; obok niego Lesław.

RYBAK.

I powiedźcież mi przecie, co wam tak pilnego,
Że się wśród nocy za rzekę kwapicie,
Jakbyście uciec chcieli przed pogonią?

LESŁAW.

Wiekiem dla tego zwłoki jest godzina,
Przed swojem własnem kto sercem ucieka.

RYBAK.

Przed swojem sercem? — O, ryba od wody
Wprzód, niźli człowiek od niego ucieczе! —

Otóż i czóln mój. Ho! widzę przybrało;
Nie darmo trzy dni całe od północy wiało.
(Odwiązuje łódź od brzegu.)

LESŁAW.

Płyńmy więc! —

RYBAK.
(nagle.)

Stój!... Przez Bóg żywy, stój! —
O włos od zguby, cudowna Opatrzność
Nas ocaliła.

LESŁAW.

I cóż grozi nam?

RYBAK.

Patrzaj, o patrzaj! — Czy widzisz? tam w dali,
Na najgłębszej wirze fali,
Jak topielców pląsa mgła?
Włos im zielony długo na ramiona spada,
Umarłym blaskiem twarz poświeca blada,
Z oczu migoce jasność jakaś zła!
Czy widzisz?...

LESŁAW.

Widzę — księżyc we mgle połamany;
Mnożą go w pląsach niespokojne fale.
W nocnym pomroku obłąkane oczy,
Kształcą ztąd dziwne w ludzki wzór postaci.

RYBAK.

O! wyście mądrzy. Rądzibyście w nas
Prostych wmówili, że oczu nie mamy.
Na ten raz przecież wierzyć mi musicie.
Znam ja się z wodą — ona mi kolebką
Była; — śmiertelnym da Bóg prześcieradłem
I trumną będzie! Wschód i zachód słońca,
I nów i pełnie odbite widziałem
W tej samej głębi. Dzisiaj, co innego

Widzę się święci. Szalonym być trzeba,
Gdyby z przestrogi nie korzystać nieba.

LESŁAW.

Jakto? niechcesz że płynąć?

RYBAK.

Nie chcę marnie ginąć.
Jest, Bogu dzięki, żyć na świecie komu:
Starą matkę i dziatki i żonę mam w domu.

LESŁAW.

Więc daj mi wiosło. Za twoją ci łódź
Dwakroć zapłacę. — Daj, popłynę sam.

RYBAK.

Chrońże mnie Boże, bym ci na śmierć pewną
Bieżyć pomagał! — Schowaj swe pieniądze.
Zdało by mi się, że za nie sprzedałem
Djabłu twą duszę! — Słuchaj dobrej rady:
Idź do gospody, prześpij się. O świcie
Sam ciebie przyjdę obudzić. — Dobranoc!

(Odchodzi.)

LESŁAW.
(wpatrując się w fale.)

Im się wpatruję bardziej, tem wyraźniej
Drgają przedemną posępne widziadła.
Miałażby fala całun swój wilgotny
Uchylać trupom, by życia zazdrośni
Żywych w jej modre grążyli głębinie?
Dzikie, okropne zjawisko!... Jednakże — —
Cóż znaczy pociąg niewypowiedziany,
Że wszystko, co się innych światów larwą
Zdaje, nadprzyrodzoną co poświeca barwą,
Z bliskaśmy dotknąć, z blizka poznać radzi?
Ta dziwna siła, co mnie mimo woli
Ku chłodnym falom za rękę prowadzi?...
Strach mnie kościaną za włos ciągnie dłonią,
Drżę — — od strasznego przecież widowiska,

Nie mogę oczu oderwać. Jednakże,
Czem bądź jest ono, o! jakżebym pragnął
Wpłynąć w pośrodek tej ruchomej zgrai!
Z wałami wody, czy z duchów rojami
Walczyć!... raz byle walkę z sobą skończyć!...

Widzę chwiejące szczyty lip sędziwych,
Stróżów jej okna. Wiatr szum ich tu niesie —
Smutny! — na gorzką zda się skarżyć zdradę. —
Mamże jak złodziej podły, skradłszy skarb
Jej spokojności, uciec z nim jak zbieg?
Mamże pozwolić, by licząc na karb
Szyderczej zdrady ucieczkę tajemną,
Serce posiała nieufności ziarnem?
Mamż ją nauczyć, przeklinać najświętsze
Z uczuć ludzkości? — Nie, nie chcę tak ciężką
Zbrodnią sumienia mojego przygniatać. —
Pójdę, raz jeszcze duszy mojej moc
Stawię burzących namiętności sile;
I w pożegnaniu wyspowiadam przed nią
Moich wysokich uczuć tajemnicę.
Niechaj przeklina to serce wyniosłe,
Na jej miłości poprzestać niezdolne;
Tylko niech młodej wiary swej ołtarza
W młodzieńczej piersi bluźniąc nie rozbija...

(Odchodzi.)

TOPIELCY[5])

w białych, kroplistych całunach, o długich, zielonych włosach, wynurzają się tłumem z pod wody i na brzegu wiążą się w taneczne koło.

Dalej! w lotnym, wietrznym biegu,
Po zroszonym Wisły brzegu,

W taniec raźno, tłumnie;
A kto jutro w nasze ślady
Wstąpi, wkrótce chłodny, blady,
Położy się w trumnie! —

Pląsając, znikają w mgle.

TOPIELICE.

Chodźcie siostry! tam na piasku,
Przy księżyca złotym blasku,
Zasiądźmy do koła:
Czesać długich włos warkoczy,
U spokojnych fal przezroczy
Zapleść białe czoła.

Długim szeregiem zasiadają po nad wodą, — i schylone, palcami rozczesują włosy.

1. TOPIELICA.

Jam księżniczką niegdyś była,
W murowanym zamku żyła,
Gdzie płowieje Bug;
Co dnia w mlekum się kąpała,
Złoty warkocz mi czesała
Kornych zgraja sług.

Przezroczystych sznur perłami,
Rozmarynu gałązkami
Plotłam sobie skroń.
Stroiłam się w drogie szaty,
W złotogłowy i szkarłaty,
W dyamenty dłoń.

Po z marmuru, po podłogach,
Przy ochoczych gęślach, rogach,
Zwodziłam ja tan.
Woniejące mi pochodnie,
Lały blask, jak słońce wschodnie,
Z zwierciadlanych ścian.

Na tym zamku był myśliwy,
Młody, krzepki, urodziwy
  Jak majowe dnie: —
Jedynaczka ja książeńca,
Pokochałam wnet młodzieńca;
  A młodzieniec mnie.

Aż raz ojciec zszedł nas razem:
Serce przebódł mu żelazem,
  I porzucił w krwi.
A mnie biedną zsiekł rózgami,
Wlókł w komorę zlaną łzami;
  Zaryglował drzwi.

Cóż po życiu bez kochanka?
Co bez dziewiczego wianka?
  Wiecznie płacz i płoń!...
Skryłam sobie oczy ręką,
I skoczyłam przez okienko
  W bystrej rzeki toń.

Wiek za wiekiem rączo bieży,
W smutnych gruzach cały leży
  Mój rodzinny gród. —
Zawsze płynie srebrna woda,
I ja zawsze żyję młoda
  W głębi mokrych wód.

Tam ostrego żwiru łoże,
Gładkie moje ciało porze,
  Cały jasny dzień.
Tam ja czekam, cała drżąca,
Rychło błyśnie krąg miesiąca,
  Spadnie nocy cień.

A przy bladym, nocnym blasku
Na nadbrzeżnym siadam piasku:
  W wieńce z trzcin i mchów,
W przezroczyste krople rosy
Me zielone plotę włosy —
  Aż zadnieje znów.

2. TOPIELICA.

Ja, lat temu dwieście z górą,
Mieszkałam we wsi nad Bzurą;
  Byłam czarownicą.
Czarowałam pola, sady,
Świat straszyłam wichry, grady,
  Gromów błyskawicą.

Raz, gdy w polu święcę czary,
Wypatrzał mnie sąsiad stary!
  Zaskarżył do groda.
Uwiązali wnet na sznurze,
I zawiedli pławić w Bzurze,
  Czy mnie przyjmie woda?

U brzegu stos czekał smolny —
Oj, nie rozkosz ogień wolny!
  Lepsza kąpiel chłodna.
Oderwałam się ze sznurka,
I ze śmiechem, dalej nurka!
  Jak siekiera do dna.

3. TOPIELICA.

Moja dola nieszczęśliwa!
Jam nie znała, jako żywa,
  Co rozkosz, co świat!
Zaledwiem się urodziła,
Matka w Wiśle utopiła —
  Dziś dwadzieścia lat.

Wodne trawy kołysały,
Wały, burze pieśni grały
  Nad kolebką mą. —
Płyną wały, płyną lata,
Ja nie widzę nigdy świata,
  Tylko po za ćmą!...

4. TOPIELICA.

Ho — ho! do wody, do wody!
Patrzcie, oto tam —

Jasnym brzegiem, chłopiec młody
Idzie nucąc k nam. —
W łódkę wsiędzie,
Płynąć będzie.
Pianą w oczy pryśniem,
Łódź o fale ciśniem,
Pochwycim za dłoń,
W mokrą wciągniem toń!

CHÓR.

Dalej! do wody, do wody!
Nasz eś, chłopcze młody! —

(Zanurzają się we wodzie.)

IV.

Nad ziemią — pomiędzy chmurami.

CZTERY CZAROWNICE.

1. CZAROWNICA.

Jak się macie!

2. CZAROWNICA.

Jak się macie!

3. CZAROWNICA.

Dawno nie baczylim was.

4. CZAROWNICA.

Do podróży na łopacie,
Śliczny dzisiaj mamy czas.

2. CZAROWNICA.

Cóż tam około was słychać?

1. CZAROWNICA.

Młodzi starych w dół pospychać,
Starzy radzi żyć na świecie.

2. CZAROWNICA.

Cóż nowego? Mówcież przecie!

1. CZAROWNICA.

U nas w dworze, ktoś dziś skończy.
Jak leciałam nad podwórze,
Puszczyk śmiał się w starym murze,
I wył smutno czarny gończy.

3. CZAROWNICA.

Pogrzeb! — stypa! — Oj, nam żeby
Bies co dzień zsyłał pogrzeby!...

4. CZAROWNICA.

Lećmy prędzej! Czas ucieka,
Na górę droga daleka.

CHÓR.

Wietrzno, ponuro!
Wiatr szarpie się z chmurą! —
Nim wiatr chmur się zbędzie,
Kur wrzaśnie na grzędzie,
Nie jeden trup będzie.

Płot nie płot — wieś nie wieś, —
Biesie, nieś! [6])

(Odlatują.)

V.

Przestronny pokój w wiejskim dworze. Przez szerokie, szklanne, rozwarte na oścież podwoje świeci jasny księżyc; nie opodal widać ciemny gaj dębów i olch. — Tuż obok rozwartych drzwi fortepian.

HELENA.

Sama; u fortepianu, gra i śpiewa.

PIEŚŃ.

Chłodny blask nocy, drżąc, cicho spoczywa
Na zżółkłych czołach pochylonych drzew.
Jesienny wicher żałobnie wygrywa
Po ich gałęziach swój posępny śpiew,
I pełną dłonią zwiędły liść obrywa.

* * *

Smutno! dni uczuć, w tęsknej samotności,
Gdy mkną bezdzielne do wieczności fal!
Nieuzłocone promieniem miłości....
Żal niespełnionych marzeń serca, — żal!
Chwil niepowrotnych natchnionej młodości...

* * *

Świeć że mi; świeć że, o gwiazdo ty złota!
We mgłach jesieni, — wśród zimowych burz, —
W boleści chwilach, w radościach żywota, —
Raz wzeszła, więcej nie zachódź mi już:
Świeć mi, o gwiazdo, ty miłości złota!

Z westchnieniem, zadumana schyla ku klawiszom głowę. — Długa chwila ciszy.

Z głębi gaju wychodzi Lesław i zbliża się ku rozwartym podwojom.

LESŁAW.

Ona tutaj — samotna. Los rad wspiera mnie.
Nim jeszcze młody i gorący zamiar

Zstarzeć na sile i ostydz czas miał,
Pomyślną chwilę spełnić mi go dał.

Niepostrzeżony wchodzi do pokoju i wspiera się o poręcz jej krzesła.

HELENA.
nagle, podnosząc oczy.

Ha! — Tyś to? ty tu, Lesławie! — Mój drogi,
Patrz, jak głęboko błądziła myśl moja
We świecie rojeń, — jak sen to był błogi,
Gdy mnie przybycie niezbudziło twoje.

LESŁAW.

Więc daruj że mi, piękna! że jak ptak;
Złowieszczy nieszczęść, w chwilę błogą tak,
Śmiałem od ciebie boski sen odegnać,
By cię w godzinie rozstania pożegnać.

HELENA.

Pożegnać?... Zkądże nagłe to rozstanie?...
Dokąd? Daleko? Na długo?

LESŁAW.

Na zawsze. —
Gdzie z ślepego losu prędem
Rzucę się? — nie wiem! Jedno tylko wiem:
Tutaj że więcej nie wrócę.

HELENA.

Ty nie powrócisz!... nie powrócisz!... Boże!
W mojego szczęścia pierwszym błogim dniu, —
W tęczowych ramach rozkosznego życia
Obraz przedemną gdy się począł snuć —
Zkąd że ci przyszło tem okrutnem słowem
Młode me rojenia struć?...

Przebóg! i takżesz to rychło
Bicie serca twego zcichło?
Także ma miłość, z krótkich godzin kilką,
W oczach już twoich cenę postradała —

Tak że ci ciężkiem brzemieniem się stała, —
Że, byle zbyć się go tylko,
Nie drżysz rozedrzeć piersi, co cię ukochała?...

Po tóż? ach, po tóż, jak promieniem słońca,
Namiętnem miłości słowem,
Śpiące w mem łonie cicho uczuć ziarno
Zbudziłeś i w kwiat rozwiłeś —
By je za chwilę, lodowatem tchnieniem,
Okrutnie zabić?... Litości! litości!
W kwiat ten me całe wybujało życie!...
O, nie zabijaj go! Nie chciej mnie młodo
Wtrącać w grób czarny!... Świat ten taki cudny!...
Pozwól się bożym naradować światem, —
Żyć — być szczęśliwą!...

LESŁAW.

Dziewczyno! poprzestań!...
Przestań takiemi do mnie mówić słowy!
Spoglądać takiem przestań na mnie okiem!...
Nie miotaj ognia w pożar żądz namiętnych!
Nie szukaj odnieść snadnego zwycięztwa
Nad słabą wolą mą — zaledwie zdolną
Zdzierżeć na wodzy rozhukane bicia
Własnego serca... Ach, nie wiesz jak mu
Ciężko się z tobą rozstawać!... jak srodze
Rrwie się ono w tej walce!...

HELENA.

Co mówisz?!... o, powtórz!
Powtórz raz jeszcze!... Serce twoje rwie się,
Rozstając ze mną?!... O, to serce złote!
Czemuż mu każesz ciężką zwodzić walkę
Z okrutną wolą!... Lesławie! o, mów!
Cóż cię więc zmusza krwawić biedne moje —
I twoje serce?... Powiedz, ja nieszczęsna
Czyliż tak srodze zawiniłam? czem?
Przed oczmi twemi?...

LESŁAW
(ponuro.)

Nie pytaj mnie o nic!
Gdybym i zdołał do mej tajemnicy
Odkrycia znaleźć język, — to wyznanie
Tobie szaleństwa zdało by się płodem. —
Ja sam, w tej chwili, ledwie ufać śmiem
Zdrowiu mych pojęć... A jednak tak jest!...
Nie był to sen czczy!... Nic pomiędzy nami
Rozwartej zawrzeć przepaści nie w stanie! —
Więcej nie pytaj darmo!... Zawierz tylko
Słowu mojemu: że nas przeznaczenia
Nieubłagana dzieli siła — której
Nie w naszej mocy wypowiadać bój.

HELENA
(z uniesieniem.)

Jak to? Jestże na ziemi władza silna tyle,
By rozdział stawić dwu sercom szlachetnym,
Węzłem miłości zjednoczonym świetnym?...
Mężnym przeciwko wszego świata sile
Pierś stawić, i skroń krwawą wpierw do grobu złożyć,
Niźli zaprzeć się siebie — losowi ukorzyć?...
Lesławie! mężu! młodzieńcze! mów! ty
Miałżebyś moc taką znać?...

Lub, lękasz li się, że mnie ona znana?
Żem ja za słaba do walki zuchwałej
Przeciwko losom?... O, nie! wierz, na Boga!
Dla mnie jedyna straszna tylko trwoga —
Stracić ciebie — serce twoje!
Ale z tobą, — z tobą razem,
Ja niczego się nie boję!
I przeciw światu całemu,
Przeciwko ojcu własnemu,
I przeciwko sądom nieba
Gotowam walczyć, gdy trzeba —
I umrzeć, jeźli trzeba!..

LESŁAW.

Ha! bądź więc, bądź moją!
A jeźli niebo mściwe grom wymierzy,
Niech on w mą głowę uderzy!...

(Przyciska ją do piersi. — Grzmot. Przez otwarte okno piorun wpada i uderza w HELENĘ. — W głębi, wśród ciemnych drzew gaju, jaskrawą oświetlony błyskawicą, ukazuje się NIEZNAJOMY.)

NOC TRZECIA.

I.

Dzikie posępne ustronie. — W około nagie pagórki, czerwonym wrzosem pokryte. — Niebo całe zaćmione grubemi, szybko biegającemi chmurami. Zmrok.

LESŁAW.

Sam, — głęboko zadumany, siedzi na pochyłości wzgórza, — u nóg jego strzelba.
Zdala słychać głos pogrzebnych dzwonów.

Jak smutno, boleśnie,
Ostatnie pożegnanie brzmi ci dzwon żałobny —
Tak niespodzianie, tak stracona wcześnie!
Na tle dni moich przemkłaś się jak we śnie — —
Tak piękną byłaś, kochałaś mnie tyle — —
Przecież ja tylko jeden dziś nie żegnam ciebie,
Nieuścisnę na wieczne rozstanie w mogile.
Łez kropli w mojem oku, w sercu kropli żalu
Niemam, by je poświęcić na twoim pogrzebie...
Jakże są niezbadane serc naszych uczucia! —
W mojem objęciu grom śmierci ją starł — —
Grzmot jego mściwy zwiastunem mi był
Obu miłości mych końca — —
Jednakże grom ten w mojem nie odbił się łonie
Echem rozpaczy, przerażenia, zgrozy.
Tylko, że niźli kiedy, dziś mi bardziej miłe
Dzikiej, samotnej oblicze natury;
Tylko, że w duszy mojej zwisły jakieś chmury

Czarne — ciążące... Zresztą, pokój taki,
Taka tam cisza! — jak na tem jesiennem
Niebie, straszliwej burzy nadzieją brzemiennem...

Jak dziwacznemi kształty niebo to się chmurzy! — [7])
Tu czarny, siedmiogłowy smok w obłokach drzymie —
Tam, jakieś wpół człowiecze, wpół mgliste, olbrzymie
Tłumy: — horda wędrownych duchów, obłąkana
W swej nieskończonej powietrznej podróży. —
Owdzie ciemna, roztwarta paszcza dziwotwora
Wisi z bezdennych mroków. Strzępione jej zęby,
Krwawym błyszczą szkarłatem. Zda się, ognia kłęby
Co chwila na świat rzygnie......
Pole widnokręga,
Zaludniło się całe; jakby niespokojne
Potęgi, piorunnemi pociskami zbrojne,
Zeszły się tu rozgłośną stoczyć z sobą wojnę. — —
Któż odgadnie istotę tych zastępów ciemnych?
Groźnej ich siły, walk, gniewów tajemnych?
Toż ludy duchów, zgniewane na sąd
Ziemski, co martwem czyni państwo ich,
Wołają, wściekłe trwożny trzęsąc ląd:
Żyjemy!....
Przed oczyma wojsk czarnych olbrzymów,
Nowa gonitwa: — wysoko, wśród zmierzchu,
Rozpierzchłe gołębi stado
Szaremi skrzydły chciwa ściga kania.
I coraz chyżej, i coraz bliższemi
Kręgi łup swój obiega, zaskrzydla — dogania — —
Chwila, a krwią szpony zmaże.
Stój, krwawy zbójco! — Bóg przez ręce człeka,
Nie dopuści morderstwa i mordercę skaże!

Strzela: — ogromny jastrząb u nóg jego spada. Z poza pagórka występuje

NIEZNAJOMY.

NIEZNAJOMY.

Witaj, Lesławie! —

(Potrąca nogą jastrzębia.)

Krew!!...

Krew ta cóż znaczy?...
Także straszliwym ukochanej zgon
Zażegł twe serce płomieniem rozpaczy,
Że go w strugach gasisz krwi?
W ogniuż tym spełzły? kędyż się podziały
Promienne czucia, co świat życia cały
Świętej miłości wieńcem otaczały?

LESŁAW.

Kiedy nadejdzie wiosna, z gór Tatrzańskich szczytów
Pędzą potoki szalone, spienione,
Rrwiąc koziodrzewy i jodły zielone,
Co się rozrosły w szczelinach granitów, —
Ale rodzimej nie obalą skały.
Tak w sercu mojem, płomienistym prądem,
Straszny grom śmierci zwalił wszystko to,
Twardego życia co zdobiło nagość.
Uczucia moje błogie, marzenia, nadzieje
Poszarpał wszystkie ze szczętem.
Miłości jednej — wielkiej, nieskończonej,
Skruszyć nie zdołał; bo ona się zrosła
Ze sercem mojem, jak zrosła się z lądem
Karpat opoka wyniosła. —
I żadna postać pojedyncza z blizka
Gdy nie przesłania więcej jej ogniska,
Z nową potęgą w nieskończoność błyska. — —
I mógłżem patrzeć, widz niemy, gdy ptak
Chciwy, krwiożerczy biedne stado gnał?
Widziałem trwożne, rozpaczne wybiegi,
Śmiertelny popłoch miłośnego ptactwa —
I miałżem przenieść?... Mój strzał,
Jak niebios opatrzny grom,
Zbawił gołębia...

NIEZNAJOMY.]

Ugodził jastrzębia.
Za jedno życie, drugieś życie stłukł. —
A któż cię stawił sędzią między niemi?
Nikczemny pyle twej ziemi!

LESŁAW.

Kto? — Duch, co życie w piersi mojej nieci,
I jasnem słońcem miłości w niej świeci.
Co na widok ucisku i zbrodni,
Gwałtów przemocy i podstępu zdrad,
Burzy się, i wre, i miota;
Coby świat cały wybawić od nich,
Coby ceną własnego żywota
Państwo sprawiedliwości okupić dlań rad.

NIEZNAJOMY.

Na uściech twoich słowo sprawiedliwość,
Brzmi, jak niewinność w nierządnicy ustach.
O twardzi, niezbłagani wy wszech jestestw sędzie!
Od samych siebie sprawiedliwi bądźcie;
Zanim je potępicie, siebie wprzód osądźcie.
A wyrok wasz straszny będzie! —
Wszakże w całej drapieżnej, świat krwawiącej hordzie,
Pierwsze miejsce, człowiecze! tobie się należy;
Tyś wodzem i mistrzem w mordzie. —
Wielka ziemia, za mała dla twoich łupieży:
Dla ciebie morza głębokie,
Tobie powietrze wysokie,
Równem polem zdobyczy. Kędy dosiądz zdolną,
Ręka twa rzeź wszędy szerzy — —
Ani zadrży na chwilę. Boś kłamstwem, sumieniu
Milczeć rozkazał. Wszech świata stworzeniu
Zaparłeś czucia i ducha: — by wolno
Bez hańby tępić je było.
Przecież, co żyje, jednem życiem tchnie.
Zwierzchnia skorupa, zmienna nieskończenie,
Wszędzie jednakie jądro ducha kryje.
I każda z istot, najniedołężniejsza,

Bliźnia ztąd tobie, — i tworom od ciebie
Wyższym, którym eś imie duchów dał,
Że wzięły ciało od was subtelniejsze,
Z błękitnej pary, powietrza, płomienia. [3])
Zwierze, roślina, — i te ni rośliny,
Ni to zwierzęta, ni kamienie, śpiące
W głębiniach mrocznych, — zarówno swą wiosnę
Mają, i chwile rozkoszy miłosne.
A rozkosz czując, i cierpienie czują;
Kochają życie, używając życia.
To też jestestwu wszemu twarz człowieka
Znana — jak śmierci strach; na sam widok twój,
Wszystko spłoszone bojaźnią ucieka.
Wrogu odwieczny wszystkiego co żywie,
Wszystkoć żywiące przeklina!... Czy słyszysz?...

LESŁAW.

Słyszę — i drżę. — Jak otchłań bezdenna,
Myśl ta rozwarła gardziel swój przedemną.
I z każdą chwilą, co w nią okiem tonę,
Tym straszniej widzę jej niezmierną przepaść. —
Chłód przerażenia wieje z jej głębiny,
I skroń mą tłoczy lodową obręczą. —
Wszystkie me siły wytężam, by niepaść
W jej czeluść czarną — — napróżno! pode mną
Drżą stopy... świat się mgłą obwija ciemną!...
Dzika, straszliwa, wszechwładna potęgo!
Trzebaż ci było, rzucając mnie w świat,
Gdzie mordem tylko wolno mi mój byt
Wątły utrzymać, — trzebaż było ci
Stworzyć bez czucia i bez serca mnie!...
Nie dość że na mnie zwaliłaś już mąk,
Co zewsząd gniotą i zewsząd mię pieką,
Żeś we mnie samym ziarno ich posiała? —
Pocóżeś wlała w pierś mą ogień szczytny —
Miłość i litość!... gdyś chciała straszydłem,
Sobie samemu i ziemi obrzydłem,
Rzucić mię w miłości świat!....

NIEZNAJOMY.

Miłości świat! — — Powtarzasz, jak żak,
Słowa, któremi mówić ci kazano.
Rzuć okiem w świat — i mów, gdzie w nim znać
Dzieło miłości?... Od błękitnych chmur,
Do głębi ziemi — wszędy wojna wrze.
Co żyje, walczy: — siłą, zdradą podłą, —
Wzajem się szarpie, rozdziera i zrze. —
Co bądź istnieje, istnie tylko bojem.
Wątkiem jestestwa, jest nienawiść wieczna.
I przecz że światem miłości zwać śmiesz
Świat nienawiści?

LESŁAW.

W słowach twoich gore
Okropna prawda! A jednak, prócz tej
Miłości, którą w sercu mojem mam,
Ileż — o ileż w świecie tym jej znam!...

NIEZNAJOMY.

Miłość! — O, jest! — Bez niej, świat by już
Od wieków w martwą zamienił się bryłę. —
Jest miłość siebie — i swoich — i płci
Odmiennych skłonność płomienista. Jest! —
Ona, jak napój z winnych gron ciśnięty,
Rzucona w życie, by pijanym szałem
Zaćmiała zmysły i duszy nie dała
Czasu, rozważną spojrzeć w koło myślą. —
O, gdybyż nie ten gorączkowy szał,
Któreżby żywe serce niestruchlało
Przed okropnością istnienia, — przed sobą!
Któż potępiony chciałby rodzić płód?...
Drapieżne bestye szpony zbroczonemi
Pierś by kosmatą rozdarły z rozpaczy,
Szaleństwo ludzki wygniotło by ród. —
Chwila jedyna, wolna od szalonych
Chuci, ostatnią byłaby stworzenia;
I panowanie śmierci, wraz z tą chwilą
Na wiek by wieków przepadło. —

LESŁAW.

Więc tylko swego niepoznanie bytu,
Rozkoszy bytu używać dozwala. —
Zaiste, smutny, hańbiący to los! —
Niech jak chce straszne przeznaczenie będzie,
Jakie bądź kaźni zdolną na nas zwalić
Świadomość, w mękach wznosi ona ducha;
Chroniąc od cierpień, poniża ślepota. —
I kto bądź jesteś, dzięki ci! żeś mgłę,
Tajnie stworzenia kryjącą mi zwiał.
A choć przed słów twych piekielną jasnością,
Wszystkie radości uciekły niezwrotnie, —
Dzięki ci przecież! —

NIEZNAJOMY.

Takżeż to wysoko
Cenisz twą rozkosz, — słaby zlepku błota! —
Najmniejsza iskra, w popiele tlejąca
Zgasłego ognia, bliższa blaskiem słońca
Południowego, niźli szczęście ziemi —
Całe, przez mnogie bytu jej stulecia —
Wesela niebios najbystrzejszej chwili.
Na łonie tego wesela jam żył.
Ani morderstwem żyć mi było trzeba; —
Duch, moc i życie czerpie z siebie sam.
Przecież, gdym ujrzał nowo wstały świat,
I wyrok srogi niewinnie nań dany,
Bluźnierczy krzyk mój przedarł się przez dźwięk
Pień uwielbienia, wśród głosów miljona.
I dziewięć chórów wnet najszlachetniejszych
Duchów zagrzmiało tym samym okrzykiem.
I — — Wszystkiej ziemi świadomy los nasz. —
Inne, poślednie chóry, pozostały
Trwogą posłuszne nucić pieśni chwały, —
Myśmy upadli w mrocznych piekieł żar.
Wieki cierpiałem, — wieczność cierpieć będę,
Przecież straconych niebios mi nie żal!

(W płomieniach, zapada w ziemię.)

LESŁAW.

I jam w płomieniach!... Niezajrzanem kołem
Ogień piekielny ogarnia mię, piecze,
Z oddechem wpada gwałtownie do piersi, —
Czemuż niespali?....Jadowita żmija,
W około bioder moich się obwija,
I szarpie serce, — czemuż nie zabija!...

(Zakrywa oczy rękoma; — odchodzi.)

II.

Cmentarz wiejski, płaczącemi brzozami i świerkami porosły. — W pośrodku murowany, odwieczny, poczerniały kościół; u jednej ze ścian jego starożytny z siwego kamienia grobowiec, — na szczycie grobowca wyciosana siedzi z kosą w ręku ŚMIERĆ.

LESŁAW.

Sam, wchodzi zadumany w pośrodek cmentarza.

....Groby do koła: — to cmentarz! —
Depcę po starych, zapadłych mogiłach,
Po szczątkach trumien, połamanych krzyżów;
I one wzajem jakby mszcząc się krzywdy,
Zdradnie wikłają, kaleczą mi stopy.
Pod nogą moją chrzęszcze smutno liść opadły,
I trzeszczą w trunach pobutwiałe kości...

Stawa oparty o drzewo przed starożytnym grobowcem.

Czem że jest los twój, droga twa? ludzkości! —
Nieświadom celu, po grobowcu wieków
Czołga się człowiek, — a do koła ciemno,
A chmur straszliwych grzmi nad nim nawała...

Piorun uderza w jeden z grobowych świerków; jaskrawa błyskawica pada na ściany kościoła i dziwnym blaskiem okrywa siedzącą na grobowcu ŚMIERĆ.

LESŁAW.

Ha ! okropna potwora!...
Gromu błyskawica,
Jakże okropnem życiem oblała jej lica!
Zdało się, że zbroczoną rozwarła paszczękę,
I szydnym śmiechem nagą wykrzywiła szczękę...
Oczewiście ożyła!...
Potóż nocy mrok
Błysk rozdarł, by oświecić takie widowisko!...

Tak, gdy ciemność rozedrze myśli błyskawica,
Równie nagie, straszliwe oblicze rozświéca.
I rozpacznie wśród nocy światła wołających,
Nową zgromi rozpaczą. — Potem — ciemność znów,
I grom głuchy, wtórzący grobowej pielgrzymce...

Burzo żywiołów! tyś przerażająca...
Piorunów kaskadami ciskasz z wyżyn chmur, —
Szalonym wiejesz wichrem, — wód lejesz potopem;
Lecz czemże jest moc twoja złowroga, zrównana
Z tą cichą walką, co się w każdej chwili, —
Na każdem miejscu ziemi, — z równą mocą
Nieubłaganej nienawiści toczy!...

Burzo żywiołów! czemuż raz, w godzinie
Zapamiętałości twej,
Wszystką mocą twojej siły
Niepochwycisz ziemskiej bryły!
Aż by w ściekłym twym uścisku
Jądro jej na proch się starło, —
Aż by wszystkie życie jej
Zdławione w żyłach zamarło!...

Okropny grzmot — kilka piorunów pada wśród cmentarza.

Pioruny — pioruny w około!...
Niebo i ziemia goreją w ich łunie....

Piorunie! krwawy piorunie!
Tu, do mnie! — tu, oto czoło! —
Gniewne niebiosa! wyzywam was — bijcie!...

Łoskot gromów ucicha w dali. — Cisza grobowa.

Ha! milczycie... bezsilne! dłoń wasza nie może
Sięgnąć mię! — Urągam wam! —
Jeżeliście silne — mścijcie!...

ŚMIERĆ
z grobowca.

Cicho szaleńcze! Niewrzeszcz mi tu tak!
Żaden piorun nie dotknie twej głowy:
Tarczą ci, na twem czole niezatarty znak
Całunku chmur i gromów królowej.

LESŁAW.

Cud! cud! — kamienny potwór ożył...
Ludzkiemi słowy usta utworzył,
By urągać niemi ze mnie!....

Na wieży kościelnej bije dwunasta godzina. — Krzyże na grobach poczynają się chwiać i walić, i mogiły otwierają się zwolna. Z dachu kościoła słychać przeraźliwy wrzask sów i jęk puchaczy.

GŁOSY Z MOGIŁ.

Ho — ho! Północ! Słyszycie! —
Zrzucajcie chłodne nakrycie.
Wstawajcie umarli!
Będziemy żywych żarli. [9])

Wieka od trumien odwalają się z łoskotem; umarli powstają i wychodzą z grobów.

LESŁAW.

Okropnie! — Wszak to zgraja upiorów powstaje

Na żer swój krwawy! — Więc z końcem żywota,
Bytu się jeszcze niekończy przekleństwo?
Śmierci kosą przecięte, ono się jak gad
Zrasta znowu — żyje znów! —
O ziemio matko! więc i w łonie twem
Dzieciom twym nie masz pokoju! —
Na toż tylko konamy, by w postaci nowej
Do dawnego wrócić boju! —
Po toż wstępuje we wilgotny grób,
Aby upiorem powstać z niego, trup!....

Straszliwa tłuszcza! — Lica ich wybladłe
Żółtemi błyszczą kośćmi! — z pod czoła zapadłe,
Szklanne migocą oczy; — zgniła wilgoć truny,
Wieje od nich do koła; — spróchniałe całuny,
Szeleszczą cicho po chwastach wybiegłych....

CHÓR STRZYG I UPIORÓW.

Wstawajcie umarli!
Będziemy żywych żarli!...

Z niedalekiej mogiły, w długiej białej sukni, z zielonym wiankiem na włosach, wstaje trup

HELENY.

LESŁAW.

Na niebiosa i piekła! — to ona! — Ze świeżo
Usutej wstaje mogiły. Jej lica
Zmienić jeszcze mieszkanie niezdążyło w grobie.
Tak jeszcze piękna, jak w dniu kiedym usty
Ust jej rumianych szukał... A dziś! — dziś
Usty temi krew śpieszy pić, krwi chciwa!.... O!
Zgroza! zgroza!...

(Wybiega.)

III.

Pasmo jałowych wzgórz, ogromnemi pokrytych głazami, porosłych cierniem i głogiem.

Burza gwałtowna — nieustanny grzmot i błyskawice.

LESŁAW.

. . . . . . Gdzie spojrzę — do koła,
Grób wszędy widzę rozwarty przed sobą,
Niezliczonem upiorów rojący się mrowiem.
W ogniu błyskawic oślepić chcę oczy, —
I nieślepnę. Rękami zasłaniam źrenice —
Próżno! przez szpary palców i przez ciała pory,
Między źrenice i między powieki
Cisną się tłumnie wybladłe upiory. —
Przez gromów trzask, przez wichrów wrzask,
Słyszę żałobne wycia ich, ziembiące
Wszystką krew w żyłach — jak wycia zgłodniałych
Wilków, w skrzącą noc styczniową, —
I śmiech złowrogi kamiennej poczwary,
Jakby krok w krok ślady memi
Szła szepcąc mi w ucho . . . . . .

ŚMIERĆ

wynurzając się z śród ciemności.

Idę! —

LESŁAW.

Okropność! Czyż to myśl moja
Kotwią rozumu zerwała i w zamęt
Bezdenny szaleństwa leci?
Lub przyszedł li dziś ten dzień,
Że z głazów pęto bezwładności zdjęto?

ŚMIERĆ.

Twe ciało martwe, — przecież jako chce,
Myśl niem wszechwładna porusza.
Myśl kiedy wcieli się w głaz,
W głaz wchodzi życie i dusza.

Pełznie ku niemu.

LESŁAW.

Precz! Ni kroku do mnie! — Precz! —

ŚMIERĆ.

O nie rozkazuj, nie gróź ty mnie!
Pomnij, żeś mym niewolnikiem,
W zniszczenia dziele moim pracownikiem.
Ukórz się, drżyj i panią twą czcij. —

Cóż tak z oczu skrami sypiesz?
I zębami wargi szczypiesz?
I zaciskasz wściekle pięście?
Radbyś mi zgruchotał skroń! —
Ha — ha! szaleńcze! nieszczęście,
Że za wątła twoja dłoń......

LESŁAW.

Więc ty uderzaj! Tyś silna.
Kosą twoją, krwią zbroczoną,
Chodź, — weź mą głowę! zabij!...

ŚMIERĆ.

Nie — jeszcze nie pora.
Nim twój czas przyjdzie, lat wiele
W ludzkiem mi jeszcze służyć będziesz ciele, —
Za nim służyć poczniesz w postaci upiora.

LESŁAW.

Służyć! — I wiecznież służyć tobie? — Toż
Nieunikniony los by mój być miał? —
Precz, przeklęta, z kłamstwem tem! —
Jak bądź jest straszna klątwa przeznaczenia,
Potęga jej, — i potęga ta
Co ją rzuciła, nie ma tyle sił, —
Moc ich nad duchem tyle niepodoła,
By mimo woli niewolnikiem był.
Ja, wolnym być wolą mam.

O nieśmiertelny, płomienny mój duchu!
Twojeż by skrzydła tak słabe być miały,
Byś raz wepchnięty w ten kipiący wir
Bytu — zniszczenia, więcej nie mógł już
Wybić się z życia zaklętego kręgu? —
O, rozwiń orle loty twoje! wzleć!
Roztocz słonecznej twej światłości koło, —
Rozświeć mrok nocy, — schronienie mi wskaż
Przed niezbłaganem przekleństwem jestestwa!...
Wskaż, ja się rzucę chociażby i w piekło. —

Piekło!... Więc piekło tylko! — Straszliwy to kraj!
Przecież, gdy tylko w nim jednym ucieczka
Przed nieprzepartem losu przeznaczeniem,
Piekło mi stanie za raj. —

I czegóż zwlekam?... Czemuż, o mój duchu!
Wzdrygasz się wezwać władzcy potęg ciemnych?...
Czyliż by piekła było tobie strach? —
Wszak ja cię jego niezaprzedam mocy
Za mądrość świata, ni za skarby świata,
Ni za wszystką świata siłę!
Nie niewolnikiem, wolnym wnijdziesz tam.
A ciężar męczarń wtedy tylko boli,
Pomimo własnej kiedy tłoczy woli;
Niestraszny, gdy na siebie włoży go kto sam. —

Szatanie! Czarcie! Aniele strącony!
Czy jak się zowiesz, — ja wzywam cię.

Na zgrozę tę, co ci niedała
Rozkoszy niebios używać, — a mnie
Samemu sobie zbrzydziła i z tobą
Okropnym swoim węzłem pobratała,
Przyzywam ciebie! — Otwórz wrota twych
Ponurych krajów; schronienie mi daj
Przede złowrogiéj przekleństwem potęgi,
Nieodmienionem, nigdy nieskończonem! —
Djable! tryumfuj dobrocią z téj mocy,
Jak ona z ciebie siłą!

Piorun uderza w bok góry i rozdziera go na dwoje; — w czarnej rozpadlinie ziemi, w koronie płomienistej na skroniach, ukazuje się

SZATAN.

SZATAN.

Jestem. — Wrota otwarte. — Do mojego państwa,
Wolne wnijście każdemu kto chce i kto śmie. —
A w kraju tym nie ma poddaństwa:
Miarą wielkości, miara w nim cierpienia;
Korona piekieł z płomienia.
Im silniej pożar we wnętrznościach płonie,
Tem wieńcem świetniejszym opromienia skronie. —
Więc jeżeli ci nie strach piekła, jeźli w twych
Piersiach gorze żar taki, że płomieni tych
Czuć ci nieda spieki, — wchódź!

LESŁAW

postępuje ku przepaści i stawa u jej brzegu.

GŁOSY Z PIEKŁA.

Biada! — Biada! — Biada! —

LESŁAW.

Piekło!
Serc wszystkich maro i trwogo!

Otóż widzę bezdenną otchłań twoich ciemnic! —
Słyszę ludu twego jęk,
Wymowny dziką grozą twych tajemnic:
Całym żalem niezwrotnej przeszłości,
Całą rozpaczą świadomej przyszłości,
Całym bólem nieśmiertelnych mąk.

ŚMIERĆ.

O niechódź tam! — Tam na dnie, wąż
Wieczności leży zwity strasznym kłębem,
I ciało swoje własne ostrym zębem
Na drobne szmaty targa wciąż;
A z każdego źdźbła ciała, z każdej krwi kropelki
Znów się wieczności rozrasta wąż wielki — — —
Wąż jadowity męczarń!... O chódź!
Uciekaj od tych czarnych bram!
Piękny, bogaty zwie ciebie świat życia.
Ja, jego pani, wszystkie tobie dam
Skarby jego do użycia.
Blask, wielkość, rozkosz — w wieczny z tobą ślub
Złączą się, i cudnym urokiem
Tak cię zwiążą, oplotą do koła, —
I kwiaty wonnemi tak zasłonią grób,
Że nigdy już więcej posępnym widokiem
Szczęścia twego zamącić nie zdoła.

LESŁAW.

Przeklęte dary twoje, i ty bądź przeklęta!
Idź łudzić niemi
Podły proch ziemi......
Nikczemnych, co w chuci pęta
Tak splątali swego ducha,
Że już więcej niezdolny orlim wzlecieć lotem,
Pył ziemi skrzydłami zmiata, —
Karmi się błotem, —
I nie pomni, nie wie o tem,
Że z jestestwem całem świata

Jestestwo jego węzłem braterstwa się splata......
W mojej duszy, od chwili najpierwszego wschodu
Pojęcia, tkwiło wiernie wspomnienie jej rodu.
Serce me żyło życiem światów wszech,
I biło tętnem tego niezmiernego życia.
Nim myśl zbadała, ono już przeczuło
Swe pokrewieństwo świetne z wszech ogromem;
I z nim wiążącą pasmem niewidomem
Świętą nić współczucia snuło.
We wszystkich głosach ogromnej natury,
Z drżeniem witało one bratnie głosy.
Każdy radośny brzmiący wśród niej dźwięk,
Błogich uniesień korowód w nie wiódł;
Każdy boleści, każdy smutku jęk,
Godził w nie i cierniem bódł. —

Jako wód strumień, opoczystym lądem
Od oceanu zdaleka zamkniony,
Zjednoczenia się żądzą tajemną wiedziony,
Dąży i rwie się k' morzu rączym prądem:
Dusza moja zawarta w ciasne więzy ciała,
Tęsknotą zadumania, zachwyceniem rzewnem, —
Tem marzeniem wśród jawy wpół jasnem, niepewnem,
Z ducha się oceanem rozkosznie zlewała.
I miłość moja była tylko dopełnieniem
Nieobjętej miłości, — żądzy wyjścia z cieśni
Samotnego istnienia, — jednem tylko brzmieniem
Wielkiej, świętej życia mego pieśni. —
A żywotem mojem całem,
Jak jednym tonem jednej srebrnej strony,
Ja wiecznie zlewać się chciałem
W harmonii światów chór nieskończony!......

Harmonio światów! i tyżeś jest tylko
Dźwięcznem splątaniem przeraźliwych głosów,
Jęków konania i morderstwa wrzasków!...
O świecie życia! ty śmierci dziedziną, —

Wielką mogiłą, — polem ubroczonem
Wieczystej walki, nienawiści wiecznej! —
Jakże cudownym, jak uroczym tyś
Był jeszcze wczora, — jak okropnym dziś!...

I tyż dziś, krwawa poczwaro!
Chcesz mię szczęścia złudzić marą?
W dniu tym przeklętym, co mi twoje lice
Nagie odsłonił, — i dał
Patrzeć na straszne grobu tajemnice!......

Nie, — nie przeklęty — błogosławiony
Niech dzień ten będzie! Bo piekło, co wniósł
Do mego serca, drżeć mi nie pozwala
Przed zgrozą piekła, co czeka rozwarte,
Ogniem ziejące na przyjęcie moje. —
Na jego progu, bez trwogi ja stoję,
Dumny przed światem i sobą. —

Oto w tej chwili, siłą mojej woli,
Targam ze siebie okowy niewoli.
Wielki — że jeźli z klątwy przeznaczenia
Niezdolnym świata wybawić,
Sam dłużej nie będę krwawić
Rąk moich w piersiach stworzenia, —
I szerzyć państwa nie będę zniszczenia! —
A to wysokie przeświadczenie duszy,
Jęk potępienia mocą swoją zgłuszy,
Czuć niedopuści piekielnych katuszy.. ....

Żegnaj! Wśród gromów bicia, z mrocznych piekła bram,
Ostatniem słowem, spojrzeniem — o świecie!
Żegnam!... sam niewiem, jak żegnać się mam? —
Błogosławieństwem?

Czy przekleństwem?
Wszystko jedno! na wieki tyś przeklęty już raz. —

  Męczarń żary nieśmiertelne!
Otchłani piekielne!
Witam was!...

PRZYPISY.

[1]) Str. 3. Jedno z mnogich podań gminnych o Twardowskim, opowiada jako tenże zaklęciem swojem przerzucił przez Wisłę głaz olbrzymi w okolicy Czerwińska.

[2]) str. 6. Podług mniemania ludu czarownice, na nowiu księżyca, wybiegają boso i w samych tylko koszulach na łąki, garnąć z trawy rosę lipowemi rzeszotami. Tym sposobem odbierają mleko wszystkiemu bydłu, które na łąkach tych się pasło, a napełniają niem swoje donice. Kiedy rzeszoto napełni się rosą, znak to, że donice czarownicy już mleka pełne.

[3]) str. 8. «Rwijcie jaskru i lubczyku» — i t. d. Wymienione tu zioła używane bywając do czarów, zwłaszcza miłosnych. Przy takim czarze zwykły się także palić włosy chłopca i dziewczyny, którzy podług woli czarownicy pokochać się mają.

[4]) str. 12. Podług wiary naszego ludu fale wody zarówno jak i powietrzne prądy zamieszkują niepojęte, niewidzialne powszedniemu oku istoty, nadludzkiej wiedzy i mocy, to przyjazne i dobroczynne, to nienawistne człowiekowi i szkodliwe. Podania o istotach takich wody nasze zaludniających znane są już powszechnie, za pośrednictwem licznych pisarzy, którzy takowe w utworach swych obrabiali. Dość tu tylko przypomnieć przecudną postać Goplany, przez Słowackiego w Balladynie tak wybornie w duchu ludu utworzoną. Istotom powietrznym — dotąd żadnem jeszcze piórem nietkniętym — podanie nadaje charakter bardziej natchniony, czystszy i wznioślejszy, jak czystszy i wyższy jest ich żywioł. — Słyszałem kiedyś baśń, opowiadającą miłostki jakiegoś rycerza z podobną powietrzną dziewicą, której na imię było Chmura.

[5]) str. 24. W całej Polsce pomiędzy ludem upowszechnione jest mniej więcej jednakie o topielcach wyobrażenie. Są to ciała utopionych ludzi, zaczynające po śmierci drugi, nieśmiertelny, tajemniczy żywot. W nocy gromady topielców wyprawiają dzikie swoje igrzyska po głębiach i brzegach wód, ciągnąc i topiąc każdego, kto wtedy ku nim się zbliży. — Na Mazowszu mają topielcy zielone włosy. Panuje także mniemanie, że kto w ślad ich na piasku wyciśnięty pierwszy wstąpi nazajutrz rano, wkrótce umierać musi.

[6]) str. 29. «Płot nie płot — wieś nie wieś — Biesie, nieś!» Słowa te wymawiają czarownice, lecąc na Łysą-górę, którą między sobą górą nazywają.

[7]) str. 36. «Jak dziwacznemi kształty niebo to się chmurzy» i t. d.

W różnokształtnych massach chmur, przemykających tłumnie po burzliwem wieczornem niebie, lud nasz widzi cały świat dziwów, pełny życia i ruchu. Są tam smoki wielogłowe i stada dzikich, niewidanych ptaków i zwierząt, harcujące między sobą. Wśród tych potwornych, bezładnych gromad ukazuje się nieraz szybko biegący na skrzydlatych rumakach zastęp mglistych, olbrzymich jeźdźców. Są to duchy dawnych wojowników, koczujące wiecznie z wichrami po nieskończonej przestrzeni. Kiedy dwa takie zastępy napotkają się ze sobą, często zwodzą z sobą walkę — które to zjawisko jest przepowiednią srogiej między ludźmi wojny. Jak to wyobrażenie kiedyś było głęboko wkorzenione w całym narodzie, dowodzą mnogie wzmianki w dawnych kronikach, przywodzące z zupełną wiarą opisy napowietrznych walk i gonitw, poprzedzających wojny i klęski na ziemi.

[8]) str. 38. «— i tworom od ciebie — Wyższym, którym eś imie duchów dał» i t. d. Zapatrywanie się na przedmioty swojskie przez szkła obcych pojęć, jakiego hasło dali pierwsi rzeczy naszych pisarze, upowszechniło u nas nie jeden dotąd trwający fałszywy widzenia sposób. Tak naprzykład istoty, podług wyobrażeń gminnych żywioły zamieszkujące, dotąd uważane bywają bądź to za tychże żywiołów uosobienie, bądź za dawne ich opiekuńcze bóstwa. Tymczasem ktoby sobie zadał (nie łatwą prawda) pracę głębiej w tej mierze wniknąć w ducha ludu, przekonałby się, że istoty te — podług nazwy ludowej duchy — nie mają nic wspólnego ze znanemi powszechnie mitologii systemami. Są to istoty równie jak człowiek stworzone i właściwym warunkom bytu poddane — wyższe tylko ogniwa w łańcuchu stworzenia, i dla tego świadomsze od nas i potężniejsze. Żywioły, w których zamieszkują, są dla nich tem, czem dla człowieka ziemia, z nich składa się ich ciało, i w nich tylko znajdują potrzebne istnienia warunki.

[9]) str. 44. «Wstawajcie umarli! — Będziemy żywych żarli.» Słowami temi w jednej z bardzo upowszechnionych baśni zwołują się do strasznego dzieła swego wstające z grobu upiory i strzygi. — Strzyga jest to upiór, który zmarłszy dzieckiem rośnie w grobie dopóty, aż dojdzie zwykłej człowieka postaci.

WIEŻA SIEDMIU WODZÓW.

PIEŚN Z PODANIA.

AUGUSTOWI BIELOWSKIEMU

w znak wysokiego szacunku

poświęca

AUTOR.

Ażeby czytelnik wiedział, jak się na utwór następny zapatrywać i go oceniać, konieczną jest, że powiem, poprzednio słów kilka: zkąd i jakim tenże powstał sposobem.

Podanie, na którem pieśń tę osnowałem, jest nabytkiem jeszcze z dziecinnych lat moich. Uczyniło ono wtedy na mym umyśle tak głębokie wrażenie, że ani czas, ani późniejszych wrażeń rozmaitość zatrzeć go nie zdołały. Ilekroć nocą, w chwili spokojnej samotności wzrok mój natrafił na wyskrzonem niebie gromadę gwiazd, w których mi kiedyś powieść złote hełmy siedmiorga wodzów ukazała, wyobraźnia moja z upodobaniem wracała do tego z lat dziecinnych wspomnienia, — odświeżając barwy, dopełniając zatarte szczegóły. Tym sposobem, mało po mału, złożyła się całość, w której coby istotnie do samego należało podania, a coby mojej własnej wyobraźni dodatkiem być mogło, przystępując do złożenia pieśni, sam, pomimo chęci najszczerszej, rozróżnić nie byłem już w stanie. Musiałem więc rzecz wziąść w tej całości, w jakiej mi ją pamięć podawała. Z zamiarem autorskim, przy tworzeniu pieśni, nic już anim odmieniał, ani dodał lub odrzucił: słowem, chciałem, na wzór dawnych pieśniarzy, opowiedzieć podanie dawne, jak je wiedziałem, nie zaś złożyć nowy utwór sztuki.

Obok takiego zamiaru, samo z siebie wypadło, że i co do zewnętrznej części utworu, zupełnie wszelkiej wyrzekłem się sztuki. Opowiadałem rzecz, jak mi najprościej i najłatwiej w wiersz się układała, nie dbając ani o gładkość tegoż, ani

o dobór rymów i wyrazów; słowem, zachowałem sobie całą swobodę twórców gminnej pieśni.

Nuty, nastroju, do przyrody i dawności przedmiotu stósownych, szukałem, jak się godziło, w najdawniejszych zabytkach słowiańskiego pieśniarstwa: w starych naszych pieśniach ludu, serbskich rapsodach, wyprawie Igora i królodworskim rękopisie. Z tych stron czworga, że tak rzekę, nawiązałem sę gęślą, na której sobie do pieśni mej ton dawałem.

Pisałem w końcu 1847. i w początkach 1848. roku.

Czy to tak szumi puszcza wysoka?
Czy to tak szumi Wisła głęboka,
Środkiem cienistych Mazowsza puszcz? —
Nie puszcza to tak prze się z wichrami,
Nie Wisła się tak bije z brzegami,
Gwar to wojennych obozu tłuszcz.

Nad białą Wisłą, wśród czarnych lasów,
Jak długo zajrzeć żółtemi brzegi,
Niezliczonego tam koczowiska
Bielą się, czernią długie szeregi
Białych namiotów, ciemnych szałasów.
Z suchych gałęzi dymią ogniska.

U dymnych ognisk krwawe się skwarzą,
Na ostre drzewca wbite: jelenie,
Ogromne dzicze, łosie pieczenie.
Dokoła męże siedzą i gwarzą.
W głębokie czary miód złoty leją,
I z czar pieniących piją koleją;
Gwarzą i pieśni wojenne pieją.

A wszystkich mężów odkryte głowy
Tak się we srebrnej migocą bieli,
Jak gdyby wszyscy na głowach mieli
Hełmy srebrzyste. Czyż księżycowy

Promień im mleczny, z kroplami rosy
Białej, tak równo ubrały włosy?

Ni księżyc mleczny, ni rosa biała,
Starość to siwa tak ich ubrała.
A dotąd ciemne wąsy i brody
Groźnie im twarze kryją jagody,
Całe zorane wieku brózdami,
Całe zsieczone bitew bliznami, —
Że dziś nie poznać, gdzie czas znak kładł,
A kędy ostry miecz wroga padł.

Wiek długi cały — jak jeden biały
Dzień — w niespocznionych zbiegł im gonitwach,
Na twardych znojach, na krwawych bitwach.
Siedmiu rzek wielkich przebrnęli brody,
Dwu mórz im nogi obmyły wody.
Sto wielkich bitew z wrogi zwalczyli, —
Stokroć dziękczynne stósy palili,
Stokroć zwycięztwa święto święcili.

Aż twarde głownie mieczy, w ich pięści
Starte na listek, pękły na części;
Aż nieskładane nigdy, o głowę
Zdarłszy się, spadły hełmy stalowe,
Natenczas męże, po pierwszy raz,
Po bieli włosów, poznali czas
Jako zbiegł wielki od owej chwili,
Gdy młodzieńcami hełmy włożyli
Na krucze skronie — i wzięli bronie,
I szli raz pierwszy na krwawe błonie.

Toż spocząć pora nadeszła już
Po życiu pełnem sławy i burz!...
Więc szli nad brzegi ojczystych wód,
Gdzie puszcz cienistych przewiewa chłód;
Kędy znużone bojów trudami
Śpią stare ojce pod mogiłami;
A ciemne sosny, zielone dęby

Nucą im do snu pieśń tajemniczą,
Święte sokoły, wieszcze jastrzęby
Nad uroczyskiem głuchem strażniczą.
Tam zaszli męże: — i grób przy grobie
Grzebią rękoma własnemi sobie.

A nim pokładną się spać w mogile,
Twardego wieku ostatnie chwile
Pierwszykroć trawią w bezpiecznych wczasach:
Na mchu zielonym w wonnych szałasach
Śpiąc nocy ciemne, — dnie całe w lasach
Polując zwierza, — o zmroku, kołem
Siadłszy u ognisk, ucztując społem,
O wielkich dziełach spełnionych gwarząc,
O przyszłej chwale za grobem marząc...

I ot! — już wszystkie groby gotowe;
Tylko w nich legnąć, i złożyć głowę
Na szary kamień, — i zasnąć już
Po życiu pełnem sławy i burz!...

Ale nim spoczną, jeszcze im wprzód
Ostatnie dzieło spełnić i trud:
Potomnym wiekom na dziw i cześć
Pomnik niezżyty po sobie wznieść.
Godzien tych męży co go stawiały,
Pomnik to będzie wielki, wspaniały:
Nad stare lasy, nad strome góry,
Nad lotnych ptaków szlaki się wzniesie;
Wierzchołkiem czarne przegoni chmury,
I aż o błękit niebios oprze się.

Taką wyrocznią wodze wyrzekły,
Jak, snać z gwiazd, wieszczym umem dociekły.
Drużyna, pełniąc wolę wyroczą,
Wnet się do dzieła imie ochoczo.

Noc przeminęła... O rannym brzasku
Wzdrgnęła się Wisła nagłego trzasku,

Od łomu dębów, zgrzytu toporów,
Ode krzemiennych stukotu młotów.
Drapieżne bestye, w tajnikach borów
Śpiące, struchlały od tych łoskotów.

Jak więc w mrowisku, gdy się robacy,
Kwapiąc około wiosennej pracy,
Rzeszą dokoła wysypią czarną:
Takowym tutaj męże przykładem,
Takim pośpiechem i zgodnym ładem,
Ku przedsięwziętej pracy się garną.

Bite rąk krzepkich tęgiemi razy
Kruszą się w sztuki olbrzymie głazy.
Bryły, silnemi dłońmi porwane,
Toczą się, — wieńcem na piasku padną;
Znów drugie głazy na nich się kładną;
Aż zrosłe w krągłą dźwigną się ścianę.

I nie tak skoro parnym dniem w wiośnie,
Po bujnym deszczu siew nowy rośnie,
Jako pospiesznie ku górze zmierza
Z szarych kamieni wiązana wieża.
Od rannej zorzy po mrok wieczora
Przeniosła wzrostem męża półtora.

Z gwieździstą nocą, po ciężkiej pracy,
Legli, snem twardym zdjęci, wojacy;
Aż ich poranne wschodzące zorza
Ze spokojnego zbudziły łoża.
Biegli więc znowu, jak się poczęło,
Do końca wielkie domierzać dzieło.

Lecz kiedy przyjdą nad brzeg topieli,
Gdzie wznosić stawbę wczora poczęli,
Przywykłe dziwom wojaków oko
Na raz rozwarte stanie szeroko,
Rażone dziwem dla siebie nowym.
Szukając w okół, po piasku płowym,

A nie znajdując tego, co szuka...
Bożaż to siła? czy czarów sztuka?
Wczorajsze dzieło, by widmo senne,
Stopiłoż wschodząc słońce promienne?

Ziemia to, ziemia łakoma, tak
W nocy swą chłodną gardziel rozwarła
I mężów ciężką pracę pożarła.
Oto wśród piasku widomy znak:
Gdzie wczora wieży wznosił się zrąb,
Kamienny sterczy z pod ziemi ząb!
Drużyna, patrząc w dół, długo stała, —
Milcząc, siwemi głowy chwiała, —
Cichemi słowy z sobą szeptała;
Wreście, do wodzów namiotu posły
Ślą, by o dziwie powieść zaniosły.

Biały, jak łabędź, na wzgórzu stał
Namiot. W namiocie, na pękach strzał
Siedmiu, siedzieli siedmi wodzowie:
Starcowie wiekiem, licem młodzieńce,
Złociste hełmy mając na głowie,
Na hełmach z dębu zielone wieńce.
U boków mieli miecze przejrzyste,
W ręku trzymali gęśli srebrzyste;
Przed nimi, w czarach białych jak śnieg,
Miód się czerwony pieni po brzeg.

Posły, skłoniwszy siwemi głowy,
Rzecz swą zwiastują krótkiemi słowy,
Jako się stało. Wodze słuchali
Milcząc, — a gdy ci mówić przestali,
Z pośrodka wodzów mąż jeden wstał,
I taką posłom odpowiedź dał:

— «Idźcie do braci, — jak się poczęło,
Rzeknijcie, dalej by wiedli dzieło;
Bo nie przystało mężom do twarzy,
Począwszy, przestać, gdy się źle darzy.»

Odeszły, głową skłoniwszy, posły,
I gwarnej rzeszy sąd wodzów niosły.
Rzesza, skoro tych wysłucha słów,
Żywo do pracy imie się znów.

Od łomu dębów, zgrzytu toporów,
Ode krzemiennych stukotu młotów,
Wzdrgnęła się Wisła, — tajniki borów
Zadrżały od tych dzikich łoskotów.
Bite rąk krzepkich tęgiemi razy
Kruszą się w sztuki olbrzymie głazy;
Dalej, silnemi dłońmi porwane,
Toczą się, kędy z ziemi ścian wieży
Zapadłych ząb się kamienny jeży,
I na wierzch głazom wczorajszym padną.
Znów nowe głazy na nich się kładną,
I rosną w krągłą ku górze ścianę.

I nie tak skoro parnym dniem w wiośnie,
Po bujnym deszczu, siew nowy rośnie,
Jako pośpiesznie ku górze zmierza
Z szarych kamieni wiązana wieża.
Od rannej zorzy po mrok wieczora
Przeniosła wzrostem męża półtora.

Z gwieździstą nocą, po ciężkiej pracy,
Legli, snem twardym zdjęci wojacy;
Aż ich woniące wiosenne zorza
Ze spokojnego zbudziły łoża.
Więc szli, powstawszy, jak się poczęło,
Do końca wielkie domierzać dzieło.

Lecz skoro przyszli, już na nich tam
Co wczora czekał dziw tenże sam.
Ziemia łakomą gardziel rozwarła
I ich wczorajszą pracę pożarła;
Tylko z pod piasku szczerbaty ząb
Kamienny, znaczy zapadły zrąb.

Drużyna chwilę zdumiona stała, —
Cicho szeptając, głowami chwiała;
Nareszcie, wodzów pamiętna słów,
Żywo do dzieła imie się znów......

I tak za nocą dzień, za dniem noc —
(Czarów to siła, czy boża moc?)
Co za dnia mężów zbudują dłonie,
Łakoma ziemia w nocy pochłonie...

Minęła wiosna, minęło lato.
Jesień, spłowiałą odziana szatą,
Idzie, żałobny zawodząc śpiew,
I zżółkłe liścia otrząsa z drzew;
A dotąd ziemia, równie obżarta,
I praca mężów, równie uparta,
Walczą ze sobą... Któraż zwycięży?
Moc niewidoma, czy wola męży?

Aż dnia jednego, — ranku białego,
Pierwianym szronem opruszonego,
Wodze drużynę całą przyzwały
Po pod pagórek, przed namiot biały,
Błogą nowinę jej zwiastowały!
Wiek walk i trudów wspólnych spełniony,
I odpoczynku dzień upragniony.

Drużyna chwilę zdziwiona stała, —
Cicho szeptając głowami chwiała, —
Tak jej wieść błoga dziwną się zdała.
Spocząć? poczęte olbrzymie dzieło
Gdy jeszcze dotąd końca niewzięło?
Gdy dotąd za dnia co wzniosą dłonie
Łakoma ziemia w noc każdą chłonie?...

Ale świadomi wodzów mądrości,
Mądre ich rady pełnić przywykli,
Wreście okrzykiem wielkim wykrzykli, —
I od pagórka, pełni radości,

Biegli pomiędzy swoje szałasy.
Ci więc oszczepy, ci więc topory
Chwyciwszy, w ciemne odejdą lasy,
K' ostatniej uczcie sprawiać przybory.

I wnet tajniki lasów zielonych
Zawrzały rogów ochoczem graniem,
Wesołem łowców nawoływaniem,
Hukiem toporów i drzew walonych...
Aż o południu, zgiełkliwą zgrają,
I ci i owi w obóz wracają.

Ci dziwe tury, czarną posoką
Znaczące drogę, za rogi wloką.
Owi, spętane lipiemi łyki,
Żywo prowadzą oporne dziki,
Lub, na wpędzonych między golenie
Drzewcach, dźwigają zwisłe jelenie.
Tamci zaś sosny, z smolnym korzeniem
Wydarte, silnem ciągną ramieniem;
Lub dzikie barci, z całemi kłody
Wycięte, niosą na wielkie gody.

I wnet ogromne wznoszą się stosy, —
Dymy słupami biją w niebiosy.
Krwawe mięsiwa, w ćwierci zrąbane,
Skwierczą, na twarde drzewca nadziane...
Aż o wieczorze legły spieczone
Na polnych głazów stoły omszone.

I po za stoły, gwarząc wesoło,
Siadła drużyna w szerokie koło. —
W środku zasiedli siedmi wodzowie, —
Starcowie wiekiem, licem młodzieńce, —
Złociste hełmy mając na głowie,
Na hełmach z dębu zielone wieńce;
Po jednej stronie miecze przejrzyste,
Z drugiej zwieszone gęśli srebrzyste.

I w pośród pieśni, śród gęśli dźwięku,
Róg pełny poszedł z ręku do ręku...

A na około, ogniem rzuconym,
Płoną szałasy wieńcem czerwonym
I smolne stósy łuczywa gorzą.
Niebo się krwawą oblało zorzą,
I biała Wisła cała rumiana,
Jako gdy jutrznia wstaje z niej z rana.

Z głębin topieli straszne wodniki,
Łby wynurzywszy, wzrok toczą dziki,
Dzikiemi z sobą gwarzą coś krzyki...
Z drzew wypłoszone jasnością sowy
Nad biesiadników tłuką się głowy...
A z po za dymu, z po za płomieni,
Z pośrodka puszczy tajemnych cieni,
Groźne leśniki, leśne-dziewice,
Przypołudnice, przywieczernice —
Wszystkie puszcz dziwy, zbiegłszy się zgrają,
Biesiadzie mężów się przyglądają...

W tem z za drzew boru, milcząc, wspaniały
Wszedł pełny księżyc, jak srebro biały.
Natenczas wodze z siedzenia wstali,
I znak milczenia skinieniem dali:
A więc powstała drużyna cała
I cicho słowa wodzów czekała.

Oni zaś siedem, białych jak śnieg
Czar napełniwszy miodem po brzeg,
Za srebrne gęśli dłońmi ujęli,
I bijąc w stróny, pieśń piać poczęli:

«O mężowie wy! serc wiernych,
Mężowie niezłomnej woli!
Wiek trudnych czynów spełniony —
Spocząć nadeszła już pora.

Czas nam pożegnać się z sobą,
Czas się ze sobą rozłączyć,
Na długie, wieków dalekich —
Lecz nie na wieczne rozstanie.

»Wam spocząć, nam odejść pora —
Tam na niebiosach wysokich,
Kędy wieczne ojców duchy
Wiecą niezmierną jaśnieją,
Ze spełnionych społem czynów
Oddać przed radą ich sprawę,
Wielkich dzieł waszych powieścią
Rozradować ojców serca.

«Ale kiedy od tej chwili
Pełnych lat tysiąc wybieży —
Czas wtedy przyjdzie straszliwy —
Zło świat ten cały owładnie —
Że jasnemu dobra Bogu
Ni jeden wreszcie nie zbędzie
Czciciel, ni jeden wojownik
Pod jego słonecznym znakiem —

»Z górnego ojców siedliska
Znów wtedy do was zstąpimy.
Gęśli znajomych odgłosem
Z snu wiekowego was zbudzim.
I wstaniecie z mogił waszych,
Młodością nową promienni,
Z odmłodzonemi u boków,
Jako wy sami, mieczami.

«I w imię jasnego Boga,
Pod jego słonecznym znakiem,
Pójdziemy znowu na ziemi
Cześć jego świętą podnosić,
Obalać złego ołtarze,
Złego wytępiać czcicieli —
Na nowe pójdziemy boje,
Nowe zwycięztwa i chwałę.

«A teraz, podajcie dłonie
Do ostatniego uścisku!
Ostatni raz złotym miodem
Róg pożegnania nalejcie!
Ostatnim oto uściskiem,
Ostatnią oto się czarą,
Ostatnią w chwili rozstania,
Pieśnią się z wami żegnamy!...»

I w pośród zgiełku, wśród uniesienia
Głośnych okrzyków, wśród pieśni pienia,
Wśród dźwięku gęśli i grania trąb —
Wodzowie z miejsca ruszą się przodem,
Drużyna długim w ślad korowodem.
Szli, kędy Wisły największa głąb, —
Kędy z pośrodka białego piasku,
Przy smolnych ognisk czerwonym blasku,
Szerokiem kołem zapadłej wieży
Zrąb szarych głazów zębem się jeży.

I na sterczącej ze ziemi ścianie
Siedmioro wodzów, wstąpiwszy, stanie.
Ze złocistemi hełmy na skroniach,
Na hełmach wieńce mając dębowe,
U boków jasne miecze stalowe,
Srebrzyste gęśli trzymając w dłoniach.
Cali w śnieżystej ubrani bieli, —
Miesiąca blaskiem wpół osrebrzeni,
Na poły ognisk łuną rumieni,
Na zrębie głazów w półkrąg stanęli.

I wraz uderzą w gęśli srebrzyste,
Z pełnej o strony uderzą mocy;
Dźwięki potężne i uroczyste
Zabrzmieją na wskroś milczenia nocy.
I wraz zanucą, gęślom we wtór,
Pieśń uroczystą we zgodny zbór,
Niepojętemi jakiemiś słowy,
Jakiejś nieznanej, nieziemskiej mowy.

Lecz snać ją znają siły tajemne,
Snać ją pojęły potężne duchy,
Zarządzające państwa podziemne...
Z głębi otchłani huk słychać głuchy,
Jak odgłos gromów ciągnących z dala,
I dziwnych głosów gwar pomięszany...
Tajemną mocą wyparta fala
Wiślana rośnie w groźne bałwany...
Ziemia się chwieje i grzmi i wzdyma...
I wpośród grzmienia, wśród ziemi drżenia,
Przed struchlałemi mężów oczyma,
Z głębi otchłani na raz widocznie
Olbrzymia wieża wznosić się pocznie.

I po nad głowy zdziwionej tłuszczy
Ogromnym słupem w górę się dźwiga.
Już szczytem drzewa minęła puszczy
I ku gwieździstym niebiosom śmiga.
Już w wysokości dalekim mroku
Ścigającemu gubi się oku;
Jéno na niebie wyskrzonem długą
Czarnego cienia znaczy się smugą.

Tylko z jej szczytu, w jasne półkole,
Złociste hełmy na wodzów czole
Siedmiorgiem kręgów błyszczących gorą,
Niby miesięcy pełnych siedmioro.
Aż coraz niknąc, coraz to wyżej,
Coraz to dalej świecąc od ziemi,
Coraz to niebios gwieździstych bliżej, —
Nareszcie, siedmią gwiazdy drobnemi,
Pomiędzy gwiazdy staną drugiemi...

Naraz ustawa podziemna wrzawa,
Ustawa grzmienie i ziemi drżenie.
I olbrzym-wieża, w groźnym ogromie,
Z czołem opartem o nieba stropy,
Z wrosłemi w piaski wilgotne stopy,
Staje milcząco i nieruchomie.

Tylko nurt Wisły, nagle cofniony
W łoże swe, głucho kipi spieniony.
Tylko, z śród ciszy, gęśli i pienia
Płyną z wysoka ostatnie brzmienia,
Zmięszane w ledwie słyszalny dźwięk,
Jak srebrny muszek wiosennych brzęk,
Lub szmer kwitnącej trawy na łące,
Gdy ją rozwija słońce wschodzące...

Ze przechylonem ku górze czołem,
Długo milczącem u wieży kołem,
Dziwem spełnionym oczarowana,
Drużyna męży stała zebrana.
Aż z zadziwienia snu ocucona,
Ku górze silne wznosząc ramiona,
Raz jeszcze, z piersi pełności wiernej,
Ku wodzom okrzyk wzniesie niezmierny.

Zaś szli, milczący, skłoniwszy głowę,
Gdzie ich mogiły zwały gotowe.
I każdy, nad swój zaszedłszy grób,
Kładł się spokojnie w piaszczysty żłób;
Na szary kamień skroń siwą wsparł,
I oczy na sen wiekowy zwarł...

W tem, z głębi ciemnych powietrznych szlaków,
Słychać śpiew jakiś, nad wyraz rzewny.
Coraz to głośniej, coraz to bliżej, —
Coraz wyraźniej, coraz brzmi niżej;
Aż wreście widny łabędzich ptaków
Ciągnący z dala długi sznur śpiewny.
Nad Wisłą, białej podobne chmurze,
Stado wędrowne zawisa w górze;
I, z cicha szumiąc nieruchomemi
Lotami skrzydeł rozwinionemi,
Roniąc łabędzi przedśmiertny żal,
Zwolna opada obłok ten biały
Nad rzeki lekko dyszące wały;
Piersią wilgotnych dotyka fal...

I z cichym pluskiem, upadłszy, tonie,
Z pieśnią zarazem, w mętnem ich łonie...

Na brzeg ogłuchły przyleciał wiatr,
Mroźny wysłaniec od śnieżnych Tatr.
Trzęsie drzewami, liść zżółkły rwie,
Olbrzymie piasku tumany dmie:
Aż zwiędłym liściem i piaskiem społy
Zawieje grobów otwarte doły;
Aże ostatniej szczęty biesiady
I wszystkie stopy człowieczej ślady
Ruchomych piasków zaspą przywali —
I z hukiem w puszcze odleci dalej...

Na uroczysku pusto zostało,
Jakby się nigdy nic tu niedziało. —
Tylko nad brzegiem, kamienna, szara,
Z wzrosłemi w piaski wilgotne stopy,
Z czołem opartem o nieba stropy,
Olbrzymia wieża stoi, jak mara.
Ale czar na nią taki rzucony,
Że jej nie dojrzy człowiek wcielony;
Ni jej śmiertelnem dojrzy spojrzeniem,
Ni jej śmiertelnem skala dotknieniem.

Tylko w pogodne dni, nocną porą,
Na głowach wodzów hełmów siedmioro
Siedmią gwiazd drobnych miga z jej szczytu,
W pośród gwiazd drugich, z nieba błękitu.
Tylko czasami z wyżyn podniebnych
Czarowne echo gęśli ich srebrnych,
Zmięszane w ledwie słyszalny dźwięk, —
Jak srebrny muszek wiosennych brzęk,
Lub szmer kwitnącej trawy na łące
Gdy ją rozwija słońce wschodzące, —
Zaleci w pośród północnej ciszy.
A człowiek co te dźwięki posłyszy,
Oczarowany, drżący jak listek,
Staje zdziwiony; — serce i ucho

Poi tą z niebios muzyką głuchą —
A potem marzy, przez wiek swój wszystek,
O wiekach dawnych, o krwawych bojach,
O wielkich wojach, o czynach sławnych . . .

Lecz gdy się tysiąc wypełni lat,
Gdy zło tak cały owładnie świat,
I wszystkie serca ludzkie posiędzie,
Że już dobrego jasnemu Bogu
Ni jeden wreście czciciel niezbędzie
Do boju przeciw czarnemu wrogu:
Z niebieskiej wiecy, północną porą,
Zstąpi na ziemię wodzów siedmioro.
W nieśmiertelności jasnym odbłysku
Promienni, staną na uroczysku, —
Ze złocistemi hełmy na skroniach,
Na głowach wieńce mając dębowe,
U boków jasne miecze stalowe,
Gęśli srebrzyste trzymając w dłoniach.
I bijąc w stróny, gęślom we wtór,
Pieśń wieszczą w zgodny zanucą zbór.

A na to śpiący wojacy w grobie
Zbudzą się, sami otworzą sobie
Mogiły swoje, i odmłodzeni,
O kruczych włosach, licem rumieni,
Wstaną; u boków z odmłodzonemi,
Jak sami, mieczmi przezroczystemi.

I w ślad za wodzmi pójdą swojemi,
Pode słonecznym proporcem Boga,
Wznosić cześć Jego świętą na ziemi,
Walić ółtarze czarnego wroga.
Siedmiu rzek wielkich przebrodzą łoża,
O dwa niezmierne oprą się morza;
Siedm lat ze złemi bój będą wieść,
W stu krwawych bitwach aż ich powalą.
Wreście zwycięztwa stósy zapalą,
Upadnie złego władztwo i cześć!

Zwycięzko wionie chorągiew boża!
Nad ziemią wielką wśród dwojga mórz,
Nad wszystkiem słowa państwem dalekiem:
By więcej nigdy nie upaść już,
I światu ztamtąd świecić wiek wiekiem.

I po brzeg obu mórz, ziemia święta,
Kośćmi walecznych sprawiona cała
Krwią bohaterów wskróś przesiąknięta,
Zabrzmi radością... I będzie chwała!
Wodzom i dzielnej drużynie chwała!
Chwała tej ziemi, co ich wydała!...
I pieśni, co to przepowiadałą. —

PRZYPIS.

Jak to w kilku słowach, pieśń niniejszą poprzedzających, już powiedziałem, podanie, na którem oną osnułem, jest mojem z dziecinnych lat nabytkiem. Dzisiaj w Mazowszu, gdzie je kiedyś powziąłem, zdaje się, że całkiem zaginęło; a przynajmniej mnie, pomimo najgorliwszych starań, w późniejszych czasach nigdzie się o nie dopytać nie udało. Jedyny ślad jego w tej części Polski znachodziłem tylko częstokroć w głuchej wzmiance o siedmiu wodzach, o których jednak nikt nic więcej powiedzieć nie umiał.

W innych znanych mi okolicach naszego kraju raz tylko jeden, na Rusi podlaskiej, pomiędzy Janowem a Terespolem, zdarzylo mi się spotkać z temże, jakbądź już wielce przetworzonem podaniem. Na gruntach wsi Cieleśnicy, zaszedłszy raz na oparzelisko, z powodu jakoby zapadłej cerkwi Cerkiewiskiem zwane, zastałem tam samotnie obiadującego kośca, który zagabnięty naprzód miejscowe, a potem różne podobne opowiadał mi podania. Z tych jedno, prawie co do słowa, tak brzmiało:

«Kiedyś żyło na świecie siedmiu braci, bardzo mądrych kniaziów, którzy wszystko, co się stało i stanie, z gwiazd znali. Kiedy wiedzieli, że czas ich nadchodził, kazali budować wieżę, w której pogrzebieni być mieli. Ale co mularze za dnia zbudowali, wszystko to nocą zapadało się w ziemię. I tak trwało to całe trzy lata. Po tym czasie najstarszy brat kazał ukować wielką złotą banią, w której zawarłszy żywego koguta, na wierzchu wystającym z ziemi ją przytwierdził. Kiedy kogut w bani zapiał, wieża sama wyszła cała ze ziemi, a była tak wysoka, że aż o niebo się oparła. Wtedy sześciu braci wstąpiło do wieży, żeby, pokładłszy się w niej, usnąć na wieki; siódmy zaś usiadł na progu, a postawiwszy stopę na głazie przed progiem leżącym rzekł: «Skoro ten kamień urośnie mi po kolano, wtenczas będzie koniec świata.» Potem, oparłszy łokieć na kolanie, a głowę na dłoni, usnął. Wieża ta dotąd jeszcze stoi gdzieś w Polsce; ale czar na nią taki rzucony, że jej żaden żywy człowiek ani dotknąć, ani widzieć nie może. Tylko złota bania na jej wierzchu świeci się wysoko w nocy, ale między drugiemi gwiazdami rozpoznać jej nie podobna. Ktoby to mógł poznać, znalazłby wieżę; a obudziwszy śpiącego w progu, dowiedziałby się od niego o wszystkiem, co się do końca świata dziać będzie.»

W oddaleńszej jeszcze stronie Rusi — w starożytnym Kijowie — znajdujemy znów inną, więcej jeszcze odstępującą od naszej, wersyą. Wieżę Pie-

czerskiej-Ławry wystawiło, podług tamecznego podania, dwunastu świątobliwych braci. Co przez dzień zbudowano, zapadało w nocy pod ziemię; i tak murowano przez lat trzydzieści. Przy końcu trzydziestego roku pokazał się anioł, i kazał, aby dach zrobili i krzyż stawiali. Zrobili dach, postawili krzyż, który że już wieczorem stawiany dla tego trochę skrzywiony — położyli się spać i zasnęli na wieki. Dopiero nazajutrz ukazała się z pod ziemi wieża, tak wysoka, że (podług wyrażenia miejscowego) o siedm mil ją widać. (Patrz w dziele: «Władysław, wyciąg z pamiętników nie bardzo starych, przez Aleksandra Grozę.» Tom II. str. 173.)

Nareście w Bohdana Zaleskiego poezyi «Poranek starego myśliwca» spotykamy wymienione pieśni gminne:

«O trzech zorzach, trzech krynicach,
Siedmiu wodzach . . . .»

Żałować, że nie położył w przypisku treści tej pieśni. Możeby się znalazło, że nie jest ona bez związku z naszem podaniem. Może — któż wie? — pokazałoby się, że wszystkie przywiedzione tu jego wersye są rozproszonemi szczęty jakiejś bohaterskiej starych Polan pieśni. Ja przynajmniej tak mniemam — i przelewając rzecz tę w rytmiczną mowę, czułem się przekonanym, że jej powracam tylko właściwą a uronioną formę.

Siedm gwiazd, w których mi złote hełmy siedmiu wodzów ukazano, należą do konstelacyi koroną zwanej, i tworzą dość regularne półkole. Ósma gwiazda widzialna, którą astronomia również do tej konstelacyi zalicza, leży od tych siedmiu więcej oddalona i nie tworzy z niemi tak wpadającej w oko całości.

Wodniki, leśniki, leśne-dziewice, przypołudnice, przywieczernice — wszystkie te dziwy gminnych wyobrażeń mają tak nieoznaczone zarysy, że niepodobna pewnych stworzyć sobie o nich pojęć. Kiedyś zapewnie lud o nich więcej opowiadać umiał; dziś pozostały same prawie tylko ich nazwania, obok krótkich wzmianek, w jego pamięci. — Wodnik, czyli wodny człowiek, zamieszkiwał, a podobnoś gdzie niegdzie i dotąd jeszcze zamieszkuje w głębiach rzek naszych, wraz z żoną, dziećmi i rodziną swą całą. Z zielonych włosów i powierzchowności całej do topielca podobny, podobnież jemu czycha złośliwie na zgubę ludzi, którzy, w nocy osobliwie, na zamieszkane przez niego miejsca się ważą. — Leśnik, czyli leśny mąż, jest to rodzaj straszny i złośliwy dzikiego pół-człeka, pół-zwierza, hukaniem zwabiający zabłąkanych w swoje tajniki, gdzie się pastwą jego stają. (Wyobrażenie wyborne tego straszydła znaleźć w Witoloraudzie Kraszewskiego, pieśni ósmej.) — Również niebezpieczna, choć nie tak groźna z pozoru, jest towarzyszka Leśnika: Leśna-dziewica — postać i rysy ruskiej rusałki i tatrzańskiej Dziwożony w sobie jednocząca. — Przypołudnice i Przywieczernice, o których przyrodzie nic bliższego nie wiadomo, są to niewiasty

straszliwe, o południowej lub wieczornej godzinie ukazujące się niekiedy z lasów i tułające po polach. Z daleka tylko widzieć je można, gdyż za zbliżeniem się człowieka uchodzą i znikają w lesie. Mają być bardzo wysokie i chude, z głową obwiązaną w brudne szmaty, a w ręku noszą sierp. Zjawienie się ich przejmuje tak niewypowiedzianą zgrozą; że nabawia śmiertelną często zimnicą.

LIRYKI I RÓŻNE WIERSZE.

POWITANIE.

Z ufnym, wzniosłym, czystym duchem
Witałem was, szranki życia!..
Pienia wieszczów od powicia
Po nad mojem brzmiały uchem.
Wzmogło czarowne ich tchnienie
Młodego serca płomienie,
Słodycz ich mnie wykarmiła —
W ich światach myśl ma błądziła
Po nocy milczeniu głuchem...
Chciwy wydrzeć się z ukrycia,
Z ufnym, wzniosłym, czystym duchem
Witałem was, szranki życia!

I wstąpiłem w świat szeroki
Z duszą ognistą i młodą;
W sercu z wiarą i swobodą,
Pewnemi wstąpiłem kroki.
Śmiały, chciwy wypełnienia
Marzeń mojej wyobraźni;
Chciwy lubej uściśnienia,
Wieńców chwały, łez przyjaźni...
Gotów cudne ich uroki
Płacić własnych dni pogodą,
Z duszą ognistą i młodą
Wstąpiłem w świat ten szeroki.

I poznałem świat nareście!...
O wy! widma mej młodości!

O przyjaźni! o miłości!...
Gdzież jesteście? gdzież jesteście?
W których wonne, rajskie róże
W snach mych strojny świat widziałem —
Dla których z takim zapałem
Wszystkiem gotów znieść był burze —
Gdzież tkliwe serca niewieście?
Męzka stałość, wiara gości?...
O wy! widma mej młodości!
Gdzież jesteście? gdzież jesteście?...

Gdzież cię szukać, boska chwało!
Z promienistem twojem kołem,
Co nad dawnych wieszczów czołem
Nieśmiertelnym blaskiem lśniało?
Dziś na wzniosłe wieszcza pienie
Zimna pierś nie zabrzmi echem;
Dziś na wielkich swe cierpienie
Martwe zgraje patrzą z śmiechem.
I gdzież ciebie szukać, chwało!
Z promienistem twojem kołem,
Coś nad dawnych wieszczów czołem
Nieśmiertelnym blaskiem lśniało?...

Czczym wyrazem święta wiara,
Kłamstwem miłość, blichtrem cnota;
Bóg — to głupców próżna mara!
Dzisiaj Bogiem bałwan złota!...
I wśród takiegoż plemienia,
O nieszczęsny zapaleńcze!
Marzenia twoje młodzieńcze
Przyszły szukać wypełnienia?
Zrzecz się ich! — lub gorzka czara
Czeka na ciebie żywota!...
W twojem sercu miłość, wiara —
Tu czcią, Bogiem, bałwan złota.

Precz mi! precz, chłodne przestrogi!...
Raj, czy piekło na mnie czeka,

Ja nie zboczę z mojej drogi!
Ja chcę żyć godnie człowieka!...
Wy! uczucia, co zdobicie
Niebios blaskiem ziemskie życie,
Choć świat cenić was nie umie,
Ja was w sobie nie zatłumię!...
Podły, kto dla bladej trwogi
Waszych rozkoszy się zrzeka!...
Ja niezboczę z waszej drogi!
Ja chcę żyć godnie człowieka!...

Bądź! bądź ze mną, iskro święta!
Olśnij brudne życia tonie!...
Niech twym ogniem raz objęta,
Pierś ma na wieki już płonie!...
Bądźcie ze mną! czucia wieszcze!
A choć cierń skroń mi otoczy,
Choć mgłą śmierci zajdą oczy,
Ja was wielbić będę jeszcze.
Jeszcze wtedy pierś natchnięta
Górną rozkoszą zapłonie,
Żem do końca w mojem łonie
Przechował cię, iskro święta!

1840.

MODLITWA

NAPISANA DLA KAROLA LEVITTOUX.

Ojcze! oto z krwawym znojem
Siejem plon na przyszły czas.
Wejrzyj na nas okiem twojem —
O Boże! wysłuchaj nas.

Żadnej siejby nie puść marno!
Każda swój niech wyda kwiat,
Każdy kwiat obfite ziarno —
Prosim za nas i za świat.

Kto, jako wąż podły, zdradnie
W serca braci leje jad,
Na skroń własną niech mu spadnie
Twardy owoc jego zdrad.

Słowa prawdy kto rozsiéwa,
By przyspieszyć słońca wschód,
Daj mu dożyć, by do żniwa
Zmartwychwstały powiódł lud!

Ach! nie jeden zasiew drogi
Śpi zbyt długi w ziemi czas!
Zbudź go! lud Cię błaga mnogi —
O Boże, wysłuchaj nas!

Z męczenników tylu kości,
Posianych od tylu lat,
Niech wznijdzie drzewo wolności
I ocieni cały świat!

TĘSKNOTA.

Tęskna pierś się wznosi,
Łza oblicze rosi,
Smutek myśli ćmi...
Piersi! czem się wznosisz?
Łzo! czem oko rosisz?
Odpowiedźcie mi.

Pod stopy mojemi
Perłami srebrnemi
Stary kipi Bug;
Jak zajrzeć w około,
Zielony wesoło
Uśmiecha się smug.

W złotych barw milionie
Na niebiosach płonie
Młodej zorzy tron...
Mnie łzą oko wzbiera,
Serce się wydziera
Gdzieś, do innych stron.

Polotny, swobodny,
Goni powiew chłodny
Przez kwiecistą błoń;
Zewsząd mu w przelocie
Kłonią kwiatów krocie
Swą dziewiczą skroń.

On gna przez dąbrowy,
Chyli lasów głowy,
Gra po szczytach wzgórz...
Aż gdzieś, usidlony,
Wonią upojony,
Zaśnie w gęstwie róż.

Czemuż niewstrzymany,
Jak on niedognany,
Nie mogę z nim w ślad,
Za serca natchnieniem,
Za marzeń spełnieniem
Biedz w szeroki świat!

Jakżeć niecierpliwie,
Jak bym szukał chciwie,
W pośród ludzi złych,

Świetny ideale,
Poczęty w zapale
Młodzieńczych snów mych!

Za tobą tęsknota
Dzisiaj piersią miota,
Serce ściska żal,
I mokra źrenica
Łzami mąci lica
Ciemnych Bugu fal.

MAZUR.

Hej! do koła hoże pary!
Uściśnieniem sprzążmy dłonie!
Zawiedźmy nasz taniec stary,
Dzielny jak duch, co w nas płonie.

Teraz z łonem zbliżcie łono!
Połączmy tchnienie ze tchnieniem!
Niech jednym świętym płomieniem
Młodzieńcze serca zapłoną.

Niechaj uczuć święta wstęga
Ochocze spoi ogniwa!
Niech żadna ziemska potęga
Nigdy mocy ich nie zrywa!...

* * *

Hej! pod nogi gwiazdy, wstęgi!
Kto się wznosić chce nad braci,
Komu wiejskiej wstyd siermięgi,
Bratnia wzgarda niech mu płaci.

Niech od pokus zwodnej mocy
Ludu zbawi nas prostota;
W sidłach świata, w błędów nocy
Przyświeca miłość i cnota.

I niechaj ich święta wstęga
Młodzieńcze spaja ogniwa!
Niech żadna ziemska potęga
Nigdy mocy ich nie zrywa!...

MYŚL.

Na tym cudów i zjawisk niepojętych świecie,
Jest czułodrzew, dziwotwór — czucie ma człowieka,
A w szorstkie kory szaty ciało swe obleka,
Stroi się w liść zielony i barwione kwiecie.
Kwiat jego rozwiniony, lśniący łzą słodyczy,
Jak wpół z szat obnażony biały gors dziewiczy,
Przynęca do rozkoszy, — łakome biesiady
Siadają w nim ucztować skrzydlate owady.
Lecz zaledwie słodkiego dotknęły kielicha,
Kwiat, co jako rozbójnik na łup tylko czycha,
Balsamicznym je swoim całunem obwija,
I wonnemi uściski zdradziecko zabija.

W pełnym dziwów i zjawisk niepojętych świecie —
Świecie ducha — jest myśli czarodziejskie kwiecie.
Cudownie ono zdala do ludzi się wdzięczy,
Stopionym w jedno blaskiem słońca, gwiazd i tęczy;
A mamiące widziadła drgają w jego łonie,
A promieniami z niego biją drogie wonie.
To też tłumnie się przy niem zbiega na około,
Rój chciwy dziw blizkiemi obejrzeć oczyma,

Błyszczącą jego gwiazdą ubrać sobie czoło.
Lecz zaledwie odetchniesz z blizka kwiatu wonią,
Żądną zaledwie dotknąć podążysz go dłonią, —
Oto, myśl nagle strzela ramiony olbrzyma!
W żelaznym ich objęciu skutego cię trzyma,
Purpurowym świat cały zasłania namiotem;
I węża dusiciela krępuje cię splotem,
I dzień i noc cię szarpie zębami tygrysa,
Dzień i noc jako upiór krew twoją wysysa,
Dopóki całej duszy wreście nie wypije. —
Myśl-upiór, życiem ofiar żywi się i tyje.

Z POEMATU: URAŃJA.

(AUGUSTA TIEDGE.)

I.

«Mir war auch ein Leben aufgegangen.»

Jak dnia goniec w wieńcu promienistym,
Świetnie wschodził ranek moich lat.
Na nadziei młodej licu czystém
Rozpłomieniał jasny róży kwiat.

Niezmącone fale życia drżały,
Purpurowych lśniące ogniem zórz;
Górnych snów mych mary się kąpały,
Jak łabędzie, wśród spłonionych mórz.

Rwąc ze sobą marzeń kwiat bogaty,
Rączym prędem czas pierzchliwy biegł;
Aż świat zdarty z złotej swojej szaty,
Zimnym trupem przed mą myślą legł.

Wzrok badawczy wytężam w przestrzenie —
Z nizkąd światła!.. W nieprzejrzanej mgle
Własnych tylko mar mych blade cienie
Majaczeją na ciemności tle.

O mgło nocy! nigdyż twego mroku
Z młodej duszy nie rozegna nic?
O jasności! spragnionemu oku
Nigdyż rajskich nie ukażesz lic?...

II.

«Gott!.. ein Gott!.. Ach, irrend such' ich Ihn!..

Bóg! ach, Bóg!.. Błądząc szukam Go!..

W gwiazd promieniach wzroku Jego badam,
W niebios głębi lica Jego zwę!..
Zwę pociechy — i płacząc upadam,
Przyrodo! w objęcia twe!

Do gwiazd głos mój niecierpliwy woła —
O przedwieczną pyta u nich moc...
Wszystko próżno! — i cicho do koła,
I do koła czarna noc!...

NA ZWALISKACH ZAMKU W CZERSKU.

Po nagiem polu mgła się kłębami przewala —
Po nagich ścianach gór dziko gra wiatr jesienny —
Drży dźwiękami srebrnemi białej Wisły fala —
Z po za czarnych szmat chmur wyjrzał miesiąc promienny.

I z grubej wieczornej pomroki, zarazem
Wybiegły trzy bliźnie, odwieczne wieżyce;
Jak klątwy potężnej tajemnym wyrazem
Zwołane trzy stare siostry-czarownice.
Olbrzymie postacią — silne krzepkiem ciałem,
Choć wieki w niem zmarszczki głębokie wygniotły —
Na czele, od żarów słońca ogorzałem,
Z dzikich chwastów sobie korony zaplotły.
I czarnemi się na mnie oczyma patrzały,
I ponurem się ze mną milczeniem witały.

A na to powitanie, żałosne, milczące,
Krew się młoda w mych żyłach płomieniem zażegła,
I rozhukana serce całe zabiegła,
I łzy do oczu pocisnęły się lśniące.
W uszach zadźwiękły miecze i srebrne puhary,
I pieśni rycerskie, i biesiadne gwary.
Zabłysły pancerze i hełmy stalowe,
I mężów postaci, wyniosłe, marsowe.
I trąby zagrały — rumaki zarżały —
Z czerwonych proporców błysnął orzeł biały...

Chwila — i wszystko przeszło! wszystko pierzchło zdradnie!
I znowu cisza głucha. Tylko w dole, na dnie
Cienistego wąwozu, białych wód głębinie,
Jak niegdyś, w dniach chwały, nucą pieśń ruinie.

Tylko młodego dębu krzew sierocy,
Na starej baszty wierzchołku samotnym,
Widny, niby chorągiew, na bladem tle nocy,
Szeleści, wiatrem miotany wilgotnym.

O! święte to drzewo! co życie wyssało,
Z łona nasiąkłych murów krwią i chwałą!
O, święte to drzewo! każdy jego listek
Wzniosłem przeszłości życiem przeszedł wszystek!...

I nagle dziwaczna, szalona, zuchwała
Myśl-żądza mi w głowie i sercu zawrzała:
Na baszty olbrzymiej wybiegły szczyt wnijść,
I w pamiątce z niego zerwać dębu liść.
I wnet dłońmi chciwemi, po szczerbatym murze,
Po czarnych szczelinach, darłem się ku górze.

Zobaczył to wicher — co gdzieś tam bałwany
Mgły gonił po polu — i przybiegł zdyszany,
I zawył mi w ucho:

«Gdzież pniesz się to? gdzież?
Od wieku nie dotknął nikt skroni tych wież!
Mnie tylko całować wolno ich rumieńce,
I objąć ich szyje, i pieścić ich wieńce.
Wam, karły, zostało czołgać się po ziemi,
U stóp mych kochanek, i korzyć przed niemi.
Hej! dalej mi ztąd! Na ziemię mi wnet!
Lub ci o kamienie pogruchoczę grzbiet.»

Lecz ja, nie słuchając, po szczerbatym murze,
Po czarnych szczelinach, darłem się ku górze.

Wiatr wtedy zaryczał, i z gniewu się wściekł:
Ostremi kleszczami za dłonie mnie rwał,
I twarz moją zimnem, niby mieczem, siekł,
I w oczy wilgotną zawieją mi plwał.

I w potężne ramiona swoje
Olbrzymią basztę chwycił w pół.
Chciał, jak nić, zerwać ją we dwoje,
I wraz ze mną runąć nią w dół.

Lecz gdy on się tak próżno silił, ja stanąłem
Na szczycie już — z gwiazd koroną nad głową —

I ułamałem gałązkę dębową,
I nią, jak berłem, skinąłem.

A jako na skinienie czarodziejskiej laski,
Wicher zajęczał — i skonał w niemocy —
I po czarnym całunie nocy
Nadsłoneczne polały się blaski.

I olśniony ich zorzą, uroczą, tajemną,
W całym swoim ogromie, od końca do końca,
Obszar ojczystej ziemi, jak przed okiem słońca,
Jednym wielkim obrazem rozwinął się przedemną.

Błyszczą szerokie jezior, rzek zwierciadła —
Zielenią strojne kąpią się w nich brzegi —
Wzbiegają w niebo stromych gór szeregi —
Ciemniają wieńce lasów, jak mroczne widziadła.

Wśród pól, wśród lasów, śpią starzy rycerze,
Niezłomni w wierze, niecofnieni w kroku.
Rdza ich hartowne strawiła puklerze,
Zszczerbione miecże tulą się do boku.
Dzielne ich ramię w proch się rozsypało,
I czoło, zdobne wieńcy niewiędłemi,
I serce nawet, co tak silnie wrzało
Miłością wolnej swej ziemi...
Wśród pól, wśród lasów klęsną ich mogiły —
Zapomniane, nieuczczone!
I tylko polne zioła skronie im uwiły
W wieńce wiecznie zielone...

Sterczą posępne, odwieczne zwaliska,
Z ich szczytów wieją dzikich zielsk sztandary.
A wiele mówią te przeszłości mary —
Jęczeniem wichru, co się do nich wciska
Bliznami murów — okrzykiem puhacza,
Co czarne skrzydła nad niemi roztacza —
A czasem plamką maleńką czerwieni,
Co gdzieś na nagiej ścianie się rumieni,

A której śniegi, i szrony, i deszcze,
Od wieków myjąc, zmyć nie mogą jeszcze...

A po nad lasy, po nad wód strumienie,
Po nad zwaliska, po nad strome góry —
Jak sókół, kiedy polotnemi pióry
Pod jasnem niebios sklepieniem szeleści —
Brzmi stare, smętne, nieuczone pienie
Dawne, urocze, cudowne powieści.
O rzadkiej dzisiaj dziewiczej piękności,
I rzadszej jeszcze pięknych dziewic cnocie,
I rzadszej jeszcze statecznej miłości.
O męzkiej młodzi rycerskiej ochocie —
O wielowładnych starych czarownicach,
Duchach, zaklętych po pustych zamczyskach,
I o straszliwych, ziembiących zjawiskach,
O niezbadanych grobu tajemnicach...

Brzmi pieśń — a wiatr ją co dnia kradnie z woni,
Mgła co dnia świetne objada z niej farby —
I piosnka coraz, coraz słabiej dzwoni.
Wreście, unosząc mnogie z sobą skarby,
I sławę ludu, co ją począł w łonie,
Leci w bezdenne zapomnienia tonie...

O, pieśni! i wyż tak w przepaść lecicie!
O, pozostańcie!... klątwy najświętszemi
Dajcie się wstrzymać! w złej doli tej ziemi
Nieopuszczajcie, co wam dała życie!

I niech zamków kolosy potężnych
Połknie głębin mokrych wieczne łoże;
Niechaj ostatnie mogiły mężnych
Pług, z pancerzów ich skuty, rozorze —
Niech zginą! wy byleście zostały —
A rozpacz od serc naszych pozostanie daleko,
Łzy nie uronim po pomnikach chwały.
Bo gorące piersi waszych mleko —

Niby kropla piorunowej rosy —
Boskie, ludzi przetworzy w pół-bogów.
A ludzie wtedy staną jak kolosy,
I stać będą na straży swych progów.
A piorunami będą ich ciosy —
I nowe się pomniki wzniosą: groby wrogów!

1840.

W IMIENINY W IMIONNIKU.

Gdyby każde życzenie ważyło przed Bogiem,
Świat biłby tobie czołem — głowa twoja młoda
Jaśniałaby koroną — jak Indów pagoda.
Cała perły i złotem lśniła byś się drogiem...

Mamżeć powtarzać słowa czcze, użyciem starte?...
Ach! słuchaj głosu serca, chroń je od zepsucia,
Nie daj minąć młodości bez kwiatu uczucia —
To życzenie nad tamte wszystkie więcej warte.

Z niem spełnionem przebiegniesz czysta i szczęśliwa
Po skażonego świata błotnistej topieli.
A jego wypełnienie w woli twej spoczywa —
Chciej — niebo łaski udzieli.

ZACHĘCENIE.

Jeżeli prawdy pragnienie cię pali,
I czczy jej pozór starczyć ci nie może,
To cóż się wzdrygać? Śmiało rzuć się w toń!
Jak majtek, kraju złota co szuka po fali,
Po niezmierzonym uczuć i myśli przestworze
Za światłem prawdy wiekuistej goń.

Wszak majtek, gdy się burza podniesie z otchłani,
Napotka wyspę, schronę w jej przystani.
I śmielszy żeglarz, co w powietrzu wzbity
Z wiatrem mknie, jak meteor, po niebieskim sklepie —
To gór mu lodowate towarzyszą szczyty —
Okiem — choć sercem na nich spocznie w pustym stepie.
I pielgrzym, co Afryki przepełza pustynie,
W pośród cienistej znajdzie spoczynek oazy....
Lecz nad Afryki piaski — mórz, nieba głębinie,
Ocean myśli, uczuć straszliwszy sto razy..

Kto żagle duszy raz na nim rozwinie,
Raz na jego bezdenne, grzmiące fale wpłynie,
Próżno by pragnął w drodze odpocząć na chwilę —
Aż u celu, lub w mogile.

Straszliwa droga!.. W niej twe chrzestne szaty
Białe, jak noc się zbrudzą, popadają w szmaty.
Ostatnie twej spuścizny rodzicielskiej szczątki,
Któreć na szyi matki zawiesiły ręce,
Których blask zdołał oczy cieszyć niemowlęce —
Ty sam odrzucisz w przepaść te święte pamiątki.
A może, skołatany bezustanną burzą,
Kiedy piersiom tchu zbraknie, ramiona się znużą,
To nim brzeg pożądany źrenica zobaczy,
Sam o skały gdzieś czaszkę roztrzaskasz w rozpaczy...

Straszliwa droga!... A któż powie jeszcze,
Co znajdziesz, spragnionego gdy dopłyniesz celu?
Może tam, dokąd dążysz tak pełen odwagi,
Ufny, że ujrzysz jakiś świat uroczy,
Przed okiem duszy twojej nagle się roztoczy
Jakiś obszar bezduszny, zakrzepły i nagi,
Mroźne tchnienie na wieki zmrozi sny twe wieszcze?...

Może!... Otóż okropna, bezdenna wątpliwość,
Młodzieńczego zapału zdolna zgasić żywość.
Wybór tu się zda równie fatalny jak trudny.
Cóż wybrać? Czyli znosić byt powszedni, nudny,
I bez wiedzy o sobie, chowając ze drżeniem
Oczy przed każdym prawdy wschodzącej promieniem,
Przewionąć do nicości długie życia lata,
Jak ten marny liść zwiędły, którym wiatr pomiata?
Tłuc się, jak los rzucony do wielkiego koła?...

Och, nie! lepiej zaiste, choć z sercem w żałobie,
Lecz którem żadna trwoga zachwiać już nie zdoła,
Iść do grobu, po ziemi, tym olbrzymim grobie,
Jak mąż, ciernie i kwiaty deptając wśród drogi;
A kiedy przeznaczenia twardy głos powoła,
Śmierć znieść jak życie, bez łez i bez trwogi...

Środka tu nie masz. Więc, gdy żądza pali,
Gdy ci czczy pozór wystarczyć nie może,
Czegóż się wzdrygać? Śmiało rzuć się w toń!
Jak majtek, kraju złota co szuka po fali,
Po niezmierzonym uczuć i myśli przestworze
Za światem prawdy wiekuistej goń.

DO LISZTA.

(IMPROWIZACYA.)

Cześć ci! władzco, mocarzu,
Nad harmonii państwem tajemniczem!
Na burzliwych chmur ółtarzu —
Z płynącem błyskawicą zapału obliczem...

* * *

Jakiż to dźwięk — rozuzdany, szalony?...
Nie! struny nigdy brzmieć nie zdolne tak!...
Odgadłem cię, czarnoksiężniku!
To chór szatanów, czarami zamkniony,
Wstał na strunach na twój znak,
I wyje posępny swój śpiew!...
Piekło całe w tym niesfornym ich krzyku —
Każdy ton potępienia brzmi echem,
Jękiem męczarni, rozpaczy śmiechem,
Iskrami ognia parzy, gotuje w żyłach krew...

Ha! Czy słyszycie?... Wicher dziko wrzasł —
Czarnemi nocy otoczony straszydły,
Szatan burzy nad ziemią ciężkiemi zwisł skrzydły.
Słyszycie dębów druzgotanych trzask?
Szum olbrzymich jodeł?.. Ach!
Otóż grom nad głową mi trzasł...
Noc — zgiełk — zamęt — blask —
Zgroza — strach!...

I patrzcie! Przez gęstwiny, piorunami podarte,
Wyniosłych puszczy drzew, w akordów koronie,
Olch stary król wychyla białe skronie.
I pieśnią cudowną eolskich harf brzmi —
Groźbą grzmi —
I szeroko ramiona wyciąga rozwarte,
Serce ciśnie w ziembiące swe dłonie...

Trwoga — szał — zgroza — pijaną zgrają
Po czaszce, po sercu pląsają.
Wichrem tonów duch porwany,
Niby dziki rumak w stepach,
Wirowym pędem gna przez mrok zamętu.
I na przemiany:
To raz, rad by na wszystko jednym gromem cisnąć,
Strzaskać do szczętu,
I roześmiać się na ziemi strzaskanych czerepach.
To znów, rad by świat cały do serca przycisnąć —
Ale tak silnie, że granit by pękł,
Tak ogniście, że dyament by zmiękł...

Cześć ci! ogniem piekła ziejący,
Burzą, trwogą, grozą grzmiący,
Szalony i dziki
Szatanie muzyki!...

* * *

A to? Czyliż strop nieba zarwał się przejrzysty,
I gwiazd jasnych deszcz złocisty
Dźwiękami srebrnemi
Opada do ziemi?...

To rój aniołów, na skrzydłach ze zórz
Niebieskich, w wieńcach z niebieskich róż,
Schodzi na ziemię barwną wstęgą tęczy
I miłości pieśnią dźwięczy.

A po złotych skrzydeł ich drabinie
Duch ku górze wstępuje — i na krańcach świata,
W nieogarnionej wieczności krainie,
W wiekuistej harmonii koło się zaplata.
Aż wszystkie, wszystkich światów niezliczonych burze,
I wszystek dźwięk rozkoszy w cały świat rzucony,

Obejmą go i splączą swojemi ramiony.
Aż cały utonie
Miłością w boskiej naturze,
I cały życia świat tchnie w jego łonie...

Cześć ci! z świętą uczucia wstęgą koło skroni,
Z promieniem nieśmiertelnej miłości na czele,
Boski aniele
Niebieskiej harmonii!...

* * *

A gdy z pod rąk twych potopem wylewa
Czarodziejskich tonów deszcz,
To widno, jak ich burzą łono twe nabrzmiewa
I po licu natchnienia jak przebiega dreszcz.
Widać, jak każde uczucie
W sercu wieszcza żar wprzód nieci —
Z ócz jego świeci —
Aż w uskrzydlonej, czarodziejskiej nucie
Wcielone wzleci.

Ty nie samem mówisz brzmieniem —
Pieśń dogrywasz ócz płomieniem —
Trzęsiesz serca twojem drżeniem —
Wiejesz w dusze twojem tchnieniem.

Cześć ci! namiętnych uczuć potępieńcze!
Miłość tobie! bracie zapaleńcze!...

1843.

W KSIĘDZE PAMIĄTEK N. B.

Księga pamiątek!.. dziwne to zjawisko!
Czem dziś jesteśmy dowód nieodparty.
By nie zgnić w zapomnieniu, papierowej karty
Prosić musim, by nasze chowała nazwisko.

Za dawnych czasów inny zwyczaj był.
W sercu, zgnilizny zimnem niezatrutem,
Przyjaźni, albo trwalszem nienawiści dłutem
Imię swoje człowiek rył.

Dziś my ze sobą żyjem jak widziadła,
Nie czując siebie. Moc życia przepadła;
A co nam zda się żywych uczuć śladem,
To jest jedynie ich szyderstwem bladem.

Złoty miłości gdy nie starczał wątek,
Ludzie, żelazny wymyślili ślub;
Prawem, prawości przytłoczyli grób;
Z potęgi wspomnień, szydzą księgami pamiątek!

Niech słowa me, wmięszane w ten napisów zbiór,
Będą jak cierpki owoc po uczcie wytwornéj;
Jak wtrącony w rozkoszny harf i fletów chór
Dźwięk kobzy Mazura niesforny;
Lub jako sosna, co się pniem omszonym
Rozrośnie w kląbie kunsztownie sadzonym.
Pani ogrodu zostaje do woli
Precz ją wyrzucić z przywłaszczonej roli.

DO F***.

Jak dąb, co w naszych puszczach szumi czołem wzniosłem,
Ja tak duchem niezgięty, jak on dziki wzrosłem.
Wzrosłem żyjąc z przyrodą, tchnąc jej tchnienie czyste,
Ssąc jesiennych poranków piersi chłodne, dżdżyste,
Słuchając pieśni wichrów, groźnych hymnów burzy,
Piorunu, co jej wyciom przeraźliwie wtórzy.

I ty chcesz, bym wraz z tobą, w ciasnem świata kole,
Z kłamanem słowem w ustach, uśmiechem na czole,
Błądził, żebrak na wdzięczne słówka i uśmiechy!
Ty myślisz, że ja waszej poziomej uciechy
Znikomemi dźwiękami ze szczętem zagłuszę,
Ten smutek, który owiał całą moją duszę —
Smutek mój, jak łza żalu anielska, tak święty,
W cichych nad losem braci rozmysłach poczęty.
Że czczy blask ich odpłoszy anioła dumania,
Co cieniem swoich skrzydeł czoło me osłania!..

I dziwi cię, i gorszy, że tak mądra rada
Niby ziarno na niwę kamienistą pada,
Że nie spieszę z wdzięcznością uścisnąć twej ręki.
Tak żeś pewien, że za nią winienem ci dzięki?

Za dawnych czasów prawo okrutne istniało,
W ciasnego sprychy koła wplatać człeka ciało.
Przenieś się wyobraźnią przed taki czyn krwawy.
Pomyśl: rwące się żyły, wybijane stawy —
Drące się ciało — kości łamane z łoskotem...
Wzdrygnąłeś się, i bledniesz! Otóż, wiedz że o tem,
Że tyś mnie na podobne wskazać rad katusze.
Bo, wierz mi, nim samotną, niepodległą duszę
W pęta ugiąć byś zdołał, to wpierw ona cała
Tak by, — ach, stokroć srożej! łamać się musiała.

Przestań więc rad, do których nigdy się nie nagnę.
Zostaw mnie. Jakim jestem, wiecznie zostać pragnę.
A sam, jak ci najlepiej, śpiesz, żyj, póki pora,
Póki cię nienawiedzi blada śmierci zmora.

OGNIA!

(IMPROWIZACYA.)

Ziemia martwa — ziemia skrzepła...
Młode życie by jej wrócić,
Jarzmo lodów by z niej zrzucić,
Nie dżdżu łez, nie westchnień ciepła —
Ognia trzeba! ognia trzeba!
Z piekła, gdy nie można z nieba.

Potrzeba pieśni rozpaczy,
Straszliwej, jak bezdeń piekła,
Co by pierś ziemskich tułaczy
Dopóty kąsała wściekła —
Póty, aż plemie skarlałe,
Od bolu wściecze się całe.

Aż ta wściekłość, w kształt piorunu,
Spróchniałym zatrzęsie światem,
Krwi go omyje szkarłatem...
Piorunu trzeba! piorunu!
Niech pół świata w proch obróci,
A niech reszcie wolność wróci!

GITARA.

(Z niemieckiego.)

«Wieder tanzt im Mondenschein
«Mein Nachen bei ihrem Fensterlein...»

Znów, w złotym blasku miesiąca,
Pod jej oknem łódź ma mknie.
Srebrnym szumem fala drżąca
W niespokojnym gwarzy śnie.
Niebo od nocnych płonie zórz —
Lecz gitara nie brzmi już.

Przez zielonych liści zwoje,
Z za róż wonnych gęstwy tej,
Niegdyś gwiazd uroczych dwoje,
Oczy mi błyszczały jej.
Dziś liście zżółkły — zwiądł kwiat róż —
I gitara nie brzmi już.

Tam, w cyprysów gęstych mroku,
Na modlitwę dzwony zwą;
U ółtarza, w lubej oku,
Z pod zasłony łzy się lśnią.
Ja łzami mącę fale mórz —
I gitara nie brzmi już!

SNY I ZBUDZENIA.

«Życie — sen.» Stare słowa, głośne na świat cały.
A wiele w nich uroku — i prawdy — z pozoru!
Czemuż tylko z pozoru? Czemu nasz nietrwały
Byt nie jest snom podobny, co z mrokiem wieczoru
Skowanej wyobraźni rozwiązują skrzydła,
I duszy, całodziennem zbolałej cierpieniem,
Stawią siódmego nieba cudne malowidła?...

Życie nasze jest długiem, ciągłem z snów budzeniem.
Każdy dzień nowy dalej, co raz dalej, płoszy
Widma, co nam pić dają z złotych czar rozkoszy;
Dla tego też dzień każdy, co został za nami,
Pamięć krwią w sercu znaczy i gorzkiemi łzami.

Sny, i pokrewne z niemi mary wyobraźni,
Dane nam, jak zabytki niebiańskiego mienia,
Jak kropla miodu, w puhar puszczona cierpienia —
Lub — może — jak narzędzia okropniejszej kaźni.
Bo każde z nich zbudzenie, srodze i niewcześnie,
Wszystkie nasze uczucia rozrania boleśnie.
Lecz, zaiste, najkrwawiej z śród tysięcy ludzi
Płomienista się dusza z snów młodości budzi.

Cudne są dni młodości! Wtenczas człowiek prawie
Cały żyje w rojeniu, cały śni na jawie.
To też życie tak błogie w pierwszym wiosny kwiecie,
Że pewnie i na drugim mało lepsze świecie.

Wtenczas z ogniska duszy, przez jasne źrenice,
Jaskrawa łuna złoci ziemskie okolice.
A w jej blasku twarz każda tak pełna zapału,
Świat się cały w olbrzymich takich kształtach widzi,
Że się własnej małości człowiek przy nich wstydzi
I ducha do wielkości dźwiga ideału.

Cudowne są te chwile! — zbyt krótkie niestety!
Oto świat cię zimnemi dłońmi swemi chwyta,
I szydnym śmiechem grobu zapaleńca wita.
Anioły uczuć w martwe mienią się szkielety —
Za wrzącą, szczerą miłość, grono młodej braci
Gorzką ci, niespodzianą, podłą zdradą płaci —
A miasto nienawiści otwartej i wzniosłéj,
Trujące zielska pełznąc u stóp twych rozrosły.

I pod zabójczem tchnieniem tych zawodnych wrażeń,
Jak lód pod słońcem, łzami taje świat twych marzeń.
Wszystkie twe sny w powolnej znikają kolei,
Unosząc z sobą skarby wiary i nadziei.
A gdy wszystkie minęły — to na pożegnanie
Z ostatnim łez i westchnień nareście nie stanie.

Wtedy czarna nieufność, niby pajęczyna,
W koło serca się grubym całunem rozpina.
Wtedy ni męzkiej dłoni przyjazne uściski,
Ani oka piękności czarodziejskie błyski,
Ni dźwięk słodkich zapewnień już się doń nie wciśnie;
Nic w niem już grobowego nie przerwie milczenia —
Uścisk, i dźwięk słów miłych, i urok spojrzenia
W nieprzeniknionej sieci bezwładnie zawisnie.

Tak życie się zamienia w powolne męczeństwo.
Wtenczas, do jednych z ulgą przybywa szaleństwo —
Drudzy, by przed szarpiącą schronić się rozpaczą,
W tajemną przepaść śmierci samowolnie skaczą.
Lecz są mężni, co dusza choć już z snów zbudzona,
Choć się szczęścia marzenia rozwiały w nicości,
Dźwigają ciężar życia. Wtenczas ty, wielkości!
Przyjmujesz ich w swe świetne, lecz chłodne ramiona.

I potęgą prawości wtedy człowiek zbrojny,
Z uroczystym spokojem na zbolałem czele,
Silny zaprzaniem siebie, występuje śmiele,
Przeciw błędom i światu gotowy do wojny.

I wszystko ścierpieć zdolny, byle swym przykładem
Niebiańską miłość prawdy w braci swej rozniecił;
Byle by znowu, wieków przeminionych śladem,
Stoickiej cnoty promień na ziemi zaświecił.

A trwoga z przed ócz jego tak ucieka zdala,
Jako od stóp opoki rozbryzgniona fala;
A zatrute pociski potwarzy i wzgardy,
Jako trzcina, o umysł druzgoczą się twardy.
I chociaż świat go żółci napoi kielichem,
On na świat nigdy słowem nie ciśnie przekleństwa;
Jako Chrystus katownie zniesie sercem cichem,
I jako Chrystus z krzyża śle błogosławieństwa.

Ale w sercu, z żądz tylu któremi gorzało,
Z roju nadziei, w dniach wiosny co tak błogo łudzi,
Jedna nadzieja, jedno życzenie zostało:
Zasnąć snem, z którego już nic więcej nie zbudzi.

ROZKOSZ I BOLEŚĆ.

Jeźliś szczęśliwa — nie zajrzę ci wcale,
Nad nieszczęśliwą — ja się nie użalę;
Bo, jak dziecięcia, mej stalonej duszy
Uśmiech zarówno ze łzą nie poruszy.

Rozkosz i boleść — jak światło i cienia —
Jak ciepło, zimno, — to czcze tylko brzmienia.
Każda z nich, własnem nie istnąca życiem,
Jedynie drugiej istnieje odbiciem.

Jeżeli zdołasz, zapomnij na chwilę
Pojęć od ludzi wyuczonych treści;

A teraz okiem rzuć po ziemskiej bryle,
I rozdziel miana: rozkoszy, boleści!..

Rozkosz cudownie z razu serce poi,
Wonią i blaskiem cudownie dni stroi;
Aleć zaledwie człowiek doń przywyknął,
Cała jej błogość, urok cały zniknął.

Blask jej z dniem każdym przyświeca mniej jaśnie,
Ciepło niebieskie coraz bardziej gaśnie;
Wreście, pierś zimnym przygniata kamieniem —
Wczorajsza rozkosz staje się cierpieniem.

Boleść, straszliwie z razu serce toczy,
Gorzkiemi łzami z razu oko broczy;
Lecz skoro człowiek raz do niej przywyknie,
Cała jej srogość, ciężar cały niknie.

I z czasem, w serce tak się ona wpije,
Że z nią człek lubo, jak z kochanką żyje;
I jak z kochanką, tak chętnie się pieści,
I jak w rozkoszy smakuje w boleści.

Ja sam, co jeszcze przed niedawnem latem
Takem się silił, by boleść odegnać
Od młodej duszy — dziś, snadniej ze światem
Przyszło by mi się niźli z nią pożegnać.

I gdyby dzisiaj samo szczęście wasze
Do ust mi swoją nachylało czaszę,
To ja bym dłonią odtrącił ją hardą,
Jabym ją zdeptał z uśmiechem i z wzgardą...

Rozkosz i boleść — jak światło i cienia —
Jak ciepło, zimno — to czcze tylko brzmienia.
I ten szalony, kto za pierwszą goni,
I ten szalony, kto się drugiej chroni.

NA ZWALISKACH ZAMKU W BIAŁY.

Spróchniałe stropy trzeszczą, po salach wiatr zimny,
Gość nieproszony, huczne wyśpiewuje hymny.
Wyniosłe świerki wicher gnie z szumem ku ziemi.
Stare, zczerniałe baszty, pełne blizn i szczerb,
Chwieją w groźnych pokłonach szczytami siwemi...
A na czele zamczyska, w koronie, co herb
Rzeźbiony wieńczy, siadł puszczyk — i gwiazdą
Lśniących oczu migocąc, jak wilk w głębi kniej,
Śmieje się w głos z człowieka, co mu takie gniazdo
Wygodne stworzył...
Śmiej się ptaku! śmiej!
Wkrótce te herby, wkrótce te korony,
Runą — i w druzgi, i w proch się rozbryzną.
I po nocy, po burzy, dzień opromieniony,
Braterstwa i swobody spokój nieskłócony,
Błysną nad naszą ojczyzną...

NAPIS NA GRÓB SAMOBÓJCY.

Spragniony, chciwie czarę życia piłem —
Tyle piołunu! słodyczy tak mało!
A gdy ni jednej kropli jej nie stało,
Sam próżną czaszę bez żalu rozbiłem.
Rzucać zaś na mnie płochy sąd, nie tobie,
Któryś rwącego nie przebył potoku!
Byś, miecąc klątwę na mym dzikim grobie,
Sam na się nie dał wyroku.

JODŁA.

Wietrzno i pusto na brzegu twym, Wisło!
Wietrzno — i pusto — i chłodno, jak w trunie...
Nad źiemią, białą, niby trup w całunie,
Jak całun jaki białe niebo zwisło.
Las, mroźnym wichrem odarty z zieleni,
Drzew się gałęźmi czerni, rosochaty,
Jak dzika trzoda rogatych jeleni —
I jęczy głośno zrabowanej szaty...

O! jakże lubo! za tym larw orszakiem,
W bezwładnej zimy milczącej dziedzinie,
Kiedy przed oczy nagle, życia znakiem,
Jedna zielona gałąź się wywinie!...

Twoja to gałąź, upiętrzona jodło!
Tyś, jako wawrzyn, wieszczej chwały godło,
W około ciebie choć wszystko zwiędniało,
Nietknięta tchnieniem zagłady anioła;
Tobie, jak laurom — ach! bardziej, przystało
Obwijać wieńcem ich natchnione czoła...

Bo laur, syn cudnej południa krainy,
Lśniący i gładki, jako liść wierzbiny,
Dziko odbija z bladego ich czoła,
Jak na pogrzebie muzyka wesoła.
A twoje wieńce, córo naszych kniei!
Żałobne, twarde, kolące jak ciernie,
Jakżeb wymownie, jak mówiły wiernie,
O wieszczych losów męczeńskiej kolei!...

Prawi poeci są jak pelikany —
Sami swe piersi rozdzierają własne,
I zowią ludzi, z ich czerwonej rany
By krwi gorącej pili strugi jasne.

A ludzkość?... śmiechem urągania płaci
Święte ofiary swej natchnionej braci,
I, samotników w twardą śmierci chwilę,
Bez łzy współczucia oddaje mogile...

Jodło ojczysta! tyż, dusza natchniona
Zlodowaciałe gdy łono opuści —
Grób przyjmie trupa w swe ciemne czeluści —
Tyż zaszum chociaż — i w niemej żałobie
Roztocz swe długie, piętrzone ramiona
Na samotnym wieszcza grobie!...

PIEŚŃ JESIENNA.

Chłodny blask nocy, drżąc, cicho spoczywa,
Na zżółkłych czołach pochylonych drzew.
Jesienny wicher żałośnie wygrywa
Po ich gałęziach swój posępny śpiew,
I pełną dłonią zwiędły liść obrywa.

O, zawyj wichrze! potężniejszem tchnieniem
Rozbudź gwarzący sennym szumem bór!
Niech się rozgłośnem ozwie smutku pieniem...
Zawyj!... na dziki, niestrojny twój chór
Pierś moja zgodnem odpowie ci brzmieniem.

Smutno! dni uczuć, w tęsknej samotności,
Gdy mkną bezdzielnę do wieczności fal,
Nieuzłocone promieniem miłości!...
Żal niespełnionych marzeń serca — żal
Chwil niepowrotnych natchnionej młodości!

Złoty miłości śnie! wiecznież przede mną
Pierzchać tak będziesz, — jak przed rankiem mgły?...
Ledwieś mi zabłysł, oto znów w noc ciemną,
Jak liść cię zwiędły wiatr gdzieś odwiał zły!...
Powróć, ach, powróć! i raz zostań ze mną!

DO MŁODEGO POETY.

Czarowna laska cudów złożona w twem ręku,
W piersiach twoich zdrój bije nieprzebranych pieśni —
A oto, w koło ciebie świat męczarń i jęku.
O! wieszczu młody, nie bądź że jak dziecie,
Co na wezgłowiu marzeń lata całe prześni,
Przeigra w wyobraźni malowanym świecie.
Niech pieśń twoja nie będzie jak w cieplarni kwiat,
Strojny blaskiem harmonii, wonią słównych szat,
Co mu całą zasługą, że chwilkę popieści,
W porze niedługiej wiosny, płochy wzrok niewieści —
Ale niech będzie kwiatem, co się w owoc zmienia,
I przejdzie w krew i życie przyszłego plemienia.

A plon taki by dało i nie przeszło marno,
To na rodzajną niwę trzeba rzucać ziarno.
Więc, nie w ściany z marmuru, nie w złote podwoje,
Nie w złotem lśniące tłumy pieśni masz nieść twoje.
Bo tam piosnka poety, w jednej z suknią mierze,
Oklask wedle nowości a wabności bierze;
Bo tam pierś każda zimna, niepłodna i pusta,
Serca zważyły mrozy, stoczyła rozpusta —
Toż pieśń młoda, gorąca, czemże tam zawładnie?
Tylko jak kamień w przepaść bez echa przepadnie!

O, wieszczu młody! inny tobie świat
Przystał — świat nizkich, pochylonych chat.
Tam sercem wiecznie młodem lud przyjmie twój śpiew.
Wiecznie młodem — bo razem z mlekiem, cò się sączy
W pierś jego z łona matek, stara pieśń się łączy,
I na wiek wieków chroni od spleśnienia krew.
Tam oklask, końca twojej nie zgłuszy piosenki,
Ni z zapału niezgrabną zbudzą cię pochwałą;
A tylko za nagrodę, za podziękę całą
Uczujesz jeden długi, niemy uścisk ręki,
Co ci żarem po nerwach pobiegnie do duszy,
Aż ci łza jakaś dziwna źrenice zapruszy —
Łza, córka ojca bólu i matki radości...
Radości twego serca i bólu twych kości!

Tylkoż, jeźli wywołać uścisk taki chcesz,
To w szpalery wzorzyste słów twoich nie krzesz;
Ale krzesz sercem w serce, jak krzemieniem w stal,
I jak iskrami próchno, tak słowami pal!
Wieszczom złoconych komnat zostaw dziki wzgląd
Obchodzić na wpół ze czcią stary, zgniły błąd;
Ty — rzuć mu śmiało w oczy garścią obelg pełną.
A prawdy nie spowijaj, by szklannej bawełną,
Ale w wieczny z nią związek poślubuj twój głos.
Głos twój zaś, niechaj będzie jak siermięga prosty,
A tak twardy i ostry, jak ostrza tych kos,
Co z równin naszych tępią wybujałe osty...
To choćby każde z słów twych jak żmija raniło,
I jako piołun w uściech gorzkiem w uchu było,
Przecież każdy je z taką powita pociechą
Jak w noc bezsenną kura przeraźliwe pianie,
Gdy, trzepocząc skrzydłami nad skopconą strzechą,
Krwawej na niebie zorzy okrzyka świtanie!

Bo pieśni wieszczów w narodzie, są tak,
Jako w człowieku bywa serca bicie:
Co razem w ciele utrzymuje życie,
I o życiu daje znak!

ANIOŁ - NISZCZYCIEL.

Moje tchnienie nie woń,
Nie gwiazdy mi skroń
  Jaśniejącem obwiodły kołem.
Mój oddech, siarczysty —
Mój wieniec, ognisty —
  A przecież jam jest aniołem.

Nie anioł, co leci,
W pieluchach mdłe dzieci
  Rajskiemi snami koleba;
Sieje miłość, zgodę,
Wiąże serca młode,
  I dusze unosi do nieba. —

Jam anioł - niszczyciel,
Jam anioł - czyściciel,
  Jam złego mściciel i wróg! . . .
Mnie, gdy czas nadchodzi,
Nim świat się odrodzi,
  Na ziemię śle Bóg.

Miecz niosę w prawicy,
Pochodnię w lewicy,
  W gromach oblatam świat;
Na imię mi: biada!
Śmierć, zgroza, zagłada
  Biegą mi ślad w ślad.

Ja tchnę w piersi ludzi —
W piersiach żar się zbudzi,
  A ręce im całe krwią ściekną:
I będą się żarli,
I będą się darli,
  Jak wilcy, gdy z głodu się wściekną.

Ja, kędy przelecę,
Skier rzęsny deszcz miecę —
Skry to niczem niezgaszone!
Aż wszystko wypalą,
I to tylko ocalą,
Co takie niebieskie jak one.

Pychy dzieci wszeteczne!
W głupstwie swojem bezpieczne!
Oto przyszedł wasz czas.
Wasze własne na głowę
Zamki wam marmurowe
Runą i pogrzebią was.

I władczyni wnet nowa,
Okropności królowa,
Gruz ze stolic waszych zasiędzie.
Z pośród ciszy, grobowa
Szydersko z ruin sowa
Z potęgi się waszej śmiać będzie.

Hej! ludzie! ja lecę,
Ogień wszędy miecę;
Bo by się przyjął siew nowy,
By wyczyścić pole,
By zniszczyć kąkole —
Wyplenić plon trzeba niezdrowy.

Nie drżyjcie, nie klnijcie,
Głów waszych nie rwijcie,
Że spłoną wam pola i włości;
Za krótki strach, głód,
Wy, i cały wasz ród,
Lichwę odbierzecie w przyszłości.

Hej! burze wy! — gromy!
Grady! wichrze łakomy!
Dalej za mną w ślad!...

Hej ognie i wody!
Mory, wojny, niezgody!
  Za mną na świat!...

Ja anioł-niszczyciel!
Ja anioł-burzyciel!
  Anioł-zbawiciel!...

WIESZCZ.

Tyś cząstką bóstwa, tyś Bóg w twojem niebie,
I świat przed tobą odkryty jak przed nim.
S. Goszczyński.

Potóż mi dane skrzydła sokole,
Bym wciąż po ziemskim pełzał padole?
Potóż mi dane orle źrenice,
Bym wiecznie poglądał niemi
Na czarne zbrodnie, na klęski ziemi,
Na zżółkłe cierpieniem lice?...

Do góry głos mnie przyzywa natchnienia,
Pójdę za jego głosem!, ufny w jego moc,
Przemknę niebiosa, i przeznaczenia
Straszliwą przebiję noc.

* * *

I oto, bujam już — wysoko, swobodnie,
Jasnem błękitu opasany kołem.
Słońc tysiące nad mem czołem
Świecą pogodnie.
A ziemia cała pod stopy mojemi!
O złociste wierzchołki pomników jej dumy

Kał jej z nóg mych obcieram — osłupiałe tłumy
Gonią za memi ślady oczyma zlękłemi.

GŁOSY Z ZIEMI.

Dokąd?! dokąd?! — Opętany!
Ślepy zapał gdzież cię garnie?
W świat niezmierny, w świat nieznany,
Za snem lecisz zginąć marnie.

Zbłąkany w zamętu nocy
Skrytej drogi nie odgadniesz;
Wątłych piór nie starczy mocy —
Biada tobie! — Spadniesz! — spadniesz!

* * *

Groźby daremne, — trwoga daremna!
Nic nie zmorduje skrzydeł mej wysokiej żądze;
Choć droga straszna, niezmierna, tajemna,
Ja nie zabłądzę!
Bo przedemną miłości gwiazda jaśniejąca
Nadsłoneczną zorzą płonie.
Ona mnie przeprowadzi wpośród gwiazd tysiąca,
Przez nieścigłe niebios tonie,
Tam, gdzie u tronu Przedwiecznego boku,
Goreją światła prawdy niewygasłe fale.
Tam ja, w ich złotym potoku,
Pochodnię myśli zapalę;
I z nią leniwe wyprzedziwszy wieki,
Zamglonemu ludzi oku,
Odsłonię z długiego mroku
Ich jestestwa cel daleki.
A jego widok, gdy w ich serca sennych
Iskrę zapału roznieci,
Moja pochodnia ścieszkę im oświeci
Pełną przepaści bezdennych!...

* * *

Zagrzmiało, zaszumiało, zawyło w przestworze —
To burza! — Na chmur rydwanie,
Przez szklanne powietrzne morze
Goni na moje spotkanie.
W ręku snopy gromów trzyma,
Trzęsie ostremi ich groty,
Błyskawic razi oczyma,
Głuszącemi grozi grzmoty.
I rycząca w gniewie wściekłym,
Zawisnęła ponademną;
Rozwarła paszczękę ciemną,
Ozionęła mię tchem spiekłym.

A ja, spokojny — wzrok nieulękniony
Zatopiłem w jej łonie klęskami nabrzmiałem;
Niszczącą jej potęgą zewsząd oskrzydlony,
Ja niezadrżałem.

Duchu ciemności! darmo twój posłaniec
Drogę mi światła w swej zgrozie zabieżył,
Z chmur olbrzymią zaporę pioruny najeżył —
To za słaby dla mnie szaniec!...
Uderzyłem — i jako o skałę granitu,
Grube chmury o pierś mą rozdarły się śmiałą.
I wpłynąłem, zwycięztwa otoczony chwałą,
W niepokalany niczem ocean błękitu.

* * *

Brzmią zewsząd harmonijne, nieustanne tony,
Tchną zewsząd niewidzialne, niewcielone wonie;
A w tej harmonii wiekuistej łonie,
Toczą się światów miljony.

Toczą się, gonią, przyciągają wzajem —
Każdy świat strojny, jak młoda dziewica,
Natury rozkwita rajem,
Na każdym wielka życia tajemnica.

Wśród nich, jak w młodych dniach wiosny
Rój motyli w pośród kwiatów,
Jasnych duchów tłum radosny
Buja na światy ze światów...

* * *

I oto, z blizka już, w górze,
Archanielskie słychać pienia.
Lśnią się wieczności przedsienia;
U ich drzwi anieli-stróże,
W ich dłoniach miecze z płomienia.

CHÓR ANIOŁÓW.

Dokąd? Dokąd?... Stój, zuchwały!
Kto tobie tyle dał siły,
Od rodzinnej wzlecić bryły?
Kto śmiałości dał ci tyle?...
Tobież? tobież? ziemski pyle!
Kędy tronuje król chwały?

* * *

Miejsce mi! miejsce, stróże niebieskiej stolicy!
Promienne czoła ukórzcie,
Złóżcie miecze błyskawicy,
Przybytek święty otwórzcie!
Jam ukochany syn Najwyższego.
Jego duch mnie rozpromienia,
W mojem ręku berło Jego:
Zmartwychwstania i stworzenia.
Mej potężnej woli władzą,
Z zapadłych grobowców łona
Od wieków ległe plemiona
U stóp się moich gromadzą.
Ja nowe światy w nowe stroję cudy,
Na nich nowe stawiam ludy.
One żyją mojem życiem,
Serca ich biją mego serca biciem;

Powstają, walczą, nikną przed memi oczyma.
Moja dłoń ich losy trzyma,
Samowładnie rządzę niemi —
Ja, syn Boga wybrany, wieszcz Jego na ziemi!...
Miejsce mi! miejsce, stróże niebieskiej stolicy!
Czoła przed wieszczem ukórzcie.
Złóżcie miecze błyskawicy,
Przybytek święty otwórzcie!

* * *

I zbrojna Cherubów rota
Korne uchyliła głowy.
Zaklęte władnemi słowy
Dyamentowe rozwarły się wrota...
Witaj, dziedzino nieśmiertelnej chwały!
W czystego blasku zawisnąłem toniach —
Mdła niepewność, czas zwodniczy,
Zdala za mną pozostały:
I widzę, jako w Mądrości dłoniach,
Przeszłość z przyszłością węzeł tajemniczy
W jeden wielki pierścień sprzęga...

Do mnie! do mnie — o ludzkości!
Przedemną losów twych księga —
Zrywam zasłony przyszłości!...

DO A. D.

Kto gad brzydki zmiata z cierni,
W dank zyskuje ból i krew.
Kto w niewieściej serca czerni
Tchnąć chce życie, zbiera gniew.

Im tak dobrze we śnie gnić,
Mar się sennych blichtrem łudzić!
A ty ich do życia budzić
Śmiesz, i sama ty śmiesz żyć!..

Oni na cię błotem rzygną
Z kałuż brudnych piersi swych;
W każdym kroku cię dościgną
Ich wrzask i szyderczy śmiech...

Śmiej się z śmiechu czaszek ciasnych;
Ból szyderstwa mężnie ścierp;
W świętym żarze piersi własnych
Do wytrwania siłę czerp.

I wierz, że dzień wybawienia
Za rozpaczą przyjdzie tuż —
Jak to słońce, co z płomienia
Krwawych co dzień wstaje zórz.

1843.

PIEŚŃ ROZBICIA.

Przez łez morze, morze krwi,
Straszna, smutna nam żegluga!...
Na niebiosach piorun mruga
Błyskiem z pod chmur czarnych brwi...
Ha! okropnie! — przecież mile,
Rzucić się w ten grzmiący wir.
Milej, niż żywo w mogile
Spać, w letargu zwitym kir.

Dni rozkoszy, szczęścia dni
Rzadko dla nas wschodzą jaśnie;

Gwiazda uczuć cudnie lśni,
Póki z dala — z bliska gaśnie.
Za nadziei krótkiej snami
Ból tem sroższy, łzy tem krwawsze...
A więc precz nam! precz na zawsze
Z rojeniami, z nadziejami!..

Taki los nasz! w wieczną dal
Gnać, bez gwiazdy-przewodnicy,
Beze steru, bez kotwicy,
Przeciw wściekłych burzom fal.
Naprzód więc, garstko tułaczy!
Przez wrzask wichrów, gromów ryki,
Potęgą naszej rozpaczy
Złych losów szał zwalczać dziki!... 1843.

NAD WISŁĄ.

(IMPROWIZACYA.)

Patrzaj, to Wisła!... Spokojna, marząca
Między Mazowsza piaski się przewija;
Srebrzystą stróną złote brzegi trąca,
I kryształową pieśnią się rozbija.

Fala jej mętna, jak oko złzawione —
W niej niebios blaski, i brzegi zielone,
I stare zamki, pomięszane razem,
Drżą jednym żywym, uroczym obrazem...

Lecz czyś ją widział, gdy brzemię zimowe
Zrzuca, ze snu się zbudzić niecierpliwa?
Gdy, burzą grzmiącą piersi wznosząc płowe,
Wściekła gniotące okowy rozrywa?

Huk jéj natenczas, jako grom podziemny,
Walący miasta w pośród nocy ciemnéj;
A jako pożar, nurt jej zapieniony
Szeroko sięga zgubnemi ramiony...

* * *

Taki jest lud nasz. On, tak cichy, rzewny,
Jak miesiąc w pełni — jak skowronek śpiewny —
W obłocznej swojej wyobraźni świecie
Roi spokojny, jak spowite dziecie.

Lecz gdy go ze snu zbudzi brzęk łańcucha,
Piekłem natenczas łono jego bucha.
O! czyjeż wtedy nie pobledną lice?
Kto wskaże jego powodzi granice?..

Biada natenczas, na kogo on wodze
Pomsty swej zwróci! — nie straszniej na siebie
Było mu wyzwać pomstę Boga w niebie!...
Biada, na jego kto mu stanie drodze!...

O, polski ludu! Wisły twojej wody
Grzmią z każdą wiosną wezbranemi wały —
Czas już, z ich głosem żeby się zmięszały:
Okrzyk twej zemsty, pieśń twojej swobody!

1844.

WESTCHNIENIE Z ODDALI.

W obcej, zimnej ziemi,
Pomiędzy obcemi,
O! jak nudno, smutno ciecze czas!...

Fale wy perłowe!
Wisły piaski płowe!
    Kiedyż? kiedyż ujrzę znowu was?

Dusza utęskniona
Rwie się lecieć z łona,
    O was tylko wciąż na jawie śni.
Brzegi Bugu, Narwi
Kwieciem wspomnień barwi —
    Kwieciem wspomnień błogich moich dni.

I posępną, dziką
Mazowsza muzyką,
    Starych lasów szumem poi słuch;
Po cmentarzach dawnych,
Grobach przodków sławnych,
    Słucha, z wichrem co ich gwarzy duch.

Z serc promieniejącem
Ogrzana gorącem,
    Strząsa z skrzydeł smutny zimy szron;
Z pieśnią ludu żywą,
Brzmiącą po nad niwą,
    W jeden cudny zgodnie zbrzmiewa ton.

O, mój ludu bliźny!
Wy, mojej ojczyzny
    Lasy — niwy — boski świecie nasz!
Jam sercem, myślami
Zawsze między wami —
    I w mej piersi duch tchnie zawsze wasz.

On mi siłą, zbroją,
Jasną gwiazdą moją
    Wśród tułactwa słót, burz, skwarów, zimn...
Aż, po dniach niedoli,
Bóg kiedyś pozwoli
    Zmartwychwstania wznieść wam grzmiący hymn.

1844.

WSPOMNIENIE Z BALTYKU.

Powiał wicher bujny — i szeleszcząc wpada
W rozpoztarte żagle, szamoce linami.
Pełnemi go garnie łakomie piersiami
Wędrowna na łodzi gromada.

Dalej że na morze!.. Łódź w górę podniosła,
Jak dwa srebrne skrzydła, dwa wilgotne wiosła;
Wędrowna drużyna wzniosła w górę dłonie,
Żegnalne westchnienie rodzinnej śląc stronie.

Łódź strzepła żaglami — milczące fal łoże
Zawrzało — zbielało — miljonem skier prysło...
O żółty nasz brzegu! biała nasza Wisło!
Bywajcie nam zdrowe!... Na morze! na morze!

Na morzu ponuro. Szare, jak z ołowiu,
Niebiosa z szaremi wałami się sprzęgły;
Zdala tylko jeszcze, jak księżyc na nowiu,
Złocisty sierp wązki zaznacza ich węgły.

To nasze wybrzeże!... I to się w mgle kryje...
Nic, tylko wody — niebiosa — i wody...
Straszno! — Hej! pieśń w górę!... pieśń, córa swobody,
Tę grozę pustyni rozbije...

I jak sokół, gdy z szumem w jasny niebios lazur
Wzlatuje z łomnickich gór czeła,
Polotnie ku górze wionął grzmiący mazur:
«Jeszcze Polska nie zginęła!»...

Aż pieśnią zbudzone baltyckie powodzi
Zadrżały, i jęły podnosić się całe —
I gwarnie, gromadnie, aż do naszej łodzi
Bałwany cisną się białe.

Jak by się cieszyły te mokre głębinie,
Pomne dawnych wieków chwały,
Wieszczbą, że znów skrzydła nad niemi rozwinie
Prawy dziedzic — orzeł biały...

W tem — zagrzmiało — zczerniało — i patrzcie! tam w dali
Jakiż olbrzymi korab' z mroku się wynurza?
Pędzi — a w koło niego prysk i wycie fali —
O, biada nam! to morski rozbójnik — to burza!

Z śród groźnie piętrzących się wałów, do góry
Powietrznej trąby strzela maszt wysoki;
Gęstej mgły mu żagle osłoniły boki,
Na szczycie banderą czarna szmata chmury.

Uchodzić?... nie pora! A więc naprzód, śmiało!
Zmierzmy się z korsarzem potężnym.
Gdzie innych strach mrozi, nam walczyć przystało;
Gdzie zgon niedołężnym, zwycięztwo tam mężnym.

Czółn stanął. Na czółnie stanęła dokoła
Osada, z gotowem do walki ramieniem;
I burzy zuchwałe nastawiając czoła,
Groźnie ją iskrzącem wyzywa spojrzeniem.

I patrzcie!... Korab' burzy także stanął nagle!
Męztwa serc naszych wzrokiem błyskawicy bada —
Okręca się — podaje do odwrotu żagle!
Pierzcha! — i w zmierzchu dali, jak widmo, przepada...

Cóż to? toż naszych wejrzeń i wyzwania znaków
Ulękła się i pierzcha nawała złowroga?...
Ha! nie dziw, że pierzcha, że zmogła ją trwoga —
Drżeć niezdolnych poznała Polaków!...

O bracia! to dla nas wyrocznią niech będzie!
Jak te chmury, tchnące klęską,
Pierzchły w niszczącym zapędzie
Przed naszą rozpaczą męzką —

Tak te wszystkie groźne w drodze naszej progi,
Co dziś nas, z daleka, tak straszą,
Gdy im oko w oko spojrzymy bez trwogi,
Rozwieją się w niwecz przed odwagą naszą!

1844.

KOMETA.

I wzeszła noc milcząca, gwieździsta. Wysoko,
Na samotnej szczycie wieży,
Zasiadł mędrzec, i zbrojne w szkła cudowne oko
Utopił w błędnej gwiazdy oblicze promienne.
Drobnym włosem ogrom mierzy,
Śledzi dróg jej przez głębie przestrzeni bezdenne.

A tłum ludu, zebrany u podnóża gmachu,
Z tajnem serca drżeniem wita
Jej złocistego jasny blask warkocza.
I z ust do ust dokoła obiega w pół-skryta
Myśl jakaś — groźna, prorocza —
I dusze chłodnem skrzydłem owiewa przestrachu.

A ja na tłum spojrzałem i na gwiazd badacza,
I złożyłem ich mądrość na szali pojęcia.
I ogromną mi mądrość zdała się prostacza —
Tamta igraszką dziecięcia.

O, mędrcze! znijdź z wysokości!
Znijdź, i dumnem swojem czołem
Uderz przed tem gwarnem kołem —
Cześć oddaj jego mądrości!

Tam, w gwiazdach, co obsiały jasnych niebios kręgi,
O których liczbę próżno ślepy wzrok twój pyta,

On, jak w kartach rozwartych tajemniczej księgi,
Wielkie słowa sądu czyta,
Pisane komet głoski tajemnemi:
Biada wam, mocarze ziemi!

O ludu! tobie tylko w księdze mrocznej nieba
Dano tej groźby widzenie;
Bo twojej tylko wiary i woli potrzeba,
By ukazać jej spełnienie.

ŻÓŁWIE.

(Napis na żółwiej skorupie.)

Szkaradny, obmierzły jest ten żółwi ród!
Niby rycerz pancerny, w tak twardą tarcz zbrojny,
Że znać do śmiałych czynów stworzony, do wojny —
A taki gnuśny, trwożny, z krwią zimną jak lód.
I tak zwolna, leniwie wlecze się po świecie,
Że za nim się do celu doczołgnie, to wprzód
Tysiące nóg mu depce bezkarnie po grzbiecie,
Kto zechce, bezkarnie go potrąca i gniecie.

Lecz stokroć obmierźli ludzie z żółwią krwią,
Na drodze narodów co kamieńmi tkwią.
Iść radzi by naprzód — ale iść się boją,
I wrzkomo to idą — a na miejscu stoją.
Za każdym wstrętem, duch ich trwoży się i waha,
Jako ptactwo na widok łachmannego stracha —
Że zanim się do celu doczołgną, to wpierw
Robactwu się i krukom uczyni z nich ścierw.

Przeklęci! Bodajby żywcem skamieniali
Wieczystym swej hańbie pomnikiem zostali!

I w ciele kamiennem, jak długi ten świat,
Czuli i cierpieli miliony lat.
Bo wy to, o żółwie, leniwi, bezczynni!
O dzieci senności i podłej bojaźni!
Za wszystkie ludzkości cierpienia i kaźni,
Za wszystko co złe jest na ziemi — wy winni!

WRÓŻBY MAZURA.

Hej — hej! rumiano, rumiano
Słońce za bór zapada —
Będzież to jutro rano
Wicher i mróz nielada!..

Hej — hej! wązką dróżyną
Zszedł się chłopiec z dziewczyną.
Spojrzeli — zczerwieniali —
Będą że się kochali!...

Hej — hej! skry w ogniu trzeszczą;
Od zachodu nad grzędą
Co wieczór sroki wrzeszczą —
Goście z tej strony będą!..

Hej — hej! w puszczy zielonéj
Ćmy się ptactwa zlatują, —
A same kruki, wrony —
Snać dużo padła czują!..

Hej — hej! co noc za wieś
Biegą wyć w pustkach psi;
Lud szemrze w każdej wsi —
Będzież to, będzie rzeź!..

Hej — hej! mały, czy duży,
Przeklina ciężki czas
I lepsze czasy wróży —
Wywróżą przecież raz! 1845.

JASKÓŁKA.

Po zimie, po smutnej, gdy wiosna nadchodzi,
Ja lecę, świegocąc, jej gońcem,
W łagodnych powiewów woniącej powodzi,
Olśniona wschodzącem z mgły słońcem.

I wracam szczebiocąc pod słomianą strzechę,
Rzuconą w jesienne zawieje;
Stęsknionym, zwątlonym przynosząc pociechę
I błogą dni lepszych nadzieję...

Ja, niebo gdy zewsząd groźnie się zachmurzy
I ciężarna dysze spieka,
Przelatam, zwiastując przyjście strasznej burzy,
Nim gromy nadciągną z daleka.

Nim wichry szalone zadmą w całej sile,
Wód łono muskając skrzydłami,
Szybkiemi nad głową migając kręgami,
Niebaczne ostrzegam oryle...

Na moich skrzydełkach piórka białe, czarne,
Zmięszane ze sobą spór wiodą —
Ja wróżę wam burze gromami ciężarne,
I ranki śmiejące pogodą.

Więc komu pierś gniecie ta cisza ciążąca,
Kto tęskni za gromem, za wiosną,
Witajcież serdecznie u siebie ich gońca —
Wróżbę wam przynoszę radosną!

PIEŚŃ WIOSENNA.

Jest w życiu czas — ach, jeden w życiu całem!
Czas żądz olbrzymich, czarodziejskich snów,
Święty szczerością, promienny zapałem,
Wiek pełen dziwów i zaklętych słów —
Młodości wiek.

Jest jeden kwiat — kwiat jak wiosenne zorze,
Tak pełen blasków i woniących tchnień,
Lecz rwać go można w rannej tylko porze,
Jak słodką mannę we wschodzący dzień —
Miłości kwiat.

Więc zrywaj kwiat! korzystaj z błogiej chwili!
W uroczy wiąż miłość z młodością ślub!
Nim słońce życia na zachód się schyli,
Nim wrzące serce zmrozi blizki grób —
Korzystaj z lat!
Rwij miłości kwiat!

STARZEC ŚWIAT DŹWIGAJĄCY.

(Napis pod posągiem w O.......)

Tyle wieków, tysięcy tyle przeszło lat,
Odkąd na moje barki wziąłem ten wasz świat.
Kiedy go po raz pierwszy w ręce me ująłem,
Młodzieniec siły pełen, wysoko nad czołem
Śmiałą go wzniosłem dłonią ku gwieździstej sferze,
Aż promiennem tchnął życiem w promiennym eterze —

W dniu jednym lat dzisiejszych spełniałem z nim drogę.
Dzisiaj, starzec zgrzybiały, ja już niedomogę.
Z żółwiem zaledwie pełznąć podołam pospołu.
Schyliły się kolana, kark ugiął do dołu;
Zaledwie jeszcze na nim, rękoma drżącemi,
Wstrzymam — lecz już wznieść wyżej nie podołam ziemi.

Odebrać mi to brzemię, młodzi! na was czas.
Stać się czem jam był światu, kolej dziś na was.
Ująć go, i na silnych wzniesiony ramionach,
Zakrzepły odgrzać w słońca młodego promionach,
Po gościńcu z nim wieków w krok zatętnić śmiały.
Nie wstyd że wam, tak długo że starzec zgrzybiały
Piastunem mu być muszę!... Weźcie mi go z bark,
Bo dłużej pod ciężarem nie wstrzyma mój kark.
Chwila jeszcze — a z rąk mi skrzepłych się wysunie,
I bez wodzy, wraz z wami, w noc zamętu runie.
Spieszcież się póki pora! Jeźli się spóźnicie,
Nie mnie, nie przeznaczeniu — sami sobie klnicie!

CHMURA NA CZOLE.

Ja nienawidzę tych czół, pogodnych,
    Jak gnuśne we stawach wody;
Tych lic rumianych, a takich chłodnych,
    Gładkich, jak zimowe lody.

Ja lubię widzieć, gdy twarz młodzieńca,
    Podarta boleści radłem,
A smutku chmura, w krąg, na kształt wieńca,
    Na czole wije się zbladłem.

Bo chmura smutku, posępna, czarna,
Znać daje, że tam nie śpiąca,
Ale jest dusza myślą ciężarna,
Uczucia burzą kipiąca.

O! bo w tej chmurze, śpią gromy jasne,
Co bałwan fałszu obalą,
I szranki ducha rozbiją ciasne,
I znicz prawd boskich zapalą.

O! bo niech tylko jasnego słońca
Promień jej łona dosięgnie,
Z tej chmury tęcza wybłyśnie lśniąca
I niebo ze ziemią sprzęgnie.

DO DĘBU.

(w L......... w Wielkopolsce.)

Cześć ci! zielony olbrzymie drzew!
Wieszczu szumiący ciemnych naszych lasów!
Na polskiej ziemi bujnie się nam krzew,
I szum wspomnieńmi zapomnianych czasów!...

* * *

Wielkież to były czasy! — Kiedy z tronu dębów,
Stu-ramiennych, dziesięcio-wieczystych,
Z za błękitnych dymu ofiarnego kłębów
Oblicza groźne bogów patrzały ojczystych!...

Wielkież bo były i te stare nasze bogi!
Ze wzniesionemi dłońmi krwawemi — językiem
Krwawym — potężnym wołające krzykiem
Na bój z najeźdźczemi wrogi...

Na niezmierny, straszny ten ich wrzask
Tysiące zewsząd echem odpowiadało głosów:
I szeroko biegł trzask, i rozlegał się blask,
Blask krwawy wojennych stosów...

Jak do ula pszczół brzęczący rój,
Jak ćma kruków do padła, z łonazarnych puszcz
Do stosów zbrojna zbiegała się tłuszcz,
I na śmiertelny szła bój...

Z niedźwiedziemi skórami na barkach,
Wlokąc ciężkie za sobą oszczepy,
Biegli trzaskać dębowe maczugi i cepy
Na żelaznych Niemców karkach.

I w bogów imię, w imię słowiańskiej wolności,
Bój zwodzili — gdzieś u błękitnej Odry;
Aż od krwi nurt jej poczerwieniał modry,
Aż zielony pobielał brzeg od trupich kości...

Po walce, z wieńcem dębowym nad brwią,
Pieśni zwycięzkie nucąc, wieszcze, pełnej z czary,
Gorącą wrogów najezdniczych krwią
Świętych dębów poili konary...

A z usłanych na szczytach ich gniazd
Nadgoplańskie orły białe,
Srebrnemi szumiące skrzydły, do wysokich gwiazd
Głośnym krzykiem zwycięzców zwiastowały chwałę......

*   *
*

Dziś — — Biada! biada! Twierdze naszych borów
Padły pod zębem pił, pod językiem toporów;
Wielkie plemie żelaznych rycerzy
W prochach bezkształtnych po mogiłach leży...

I z dębów tych, rozłożystych, ogromnych,
I z mężów tych, jak one tak olbrzymich, niezłomnych,
Widma tylko posępne, w płaszczu grobowej pleśni,
Wstają na chwilę w starej słowach pieśni...

Ziemię, w której śpią ojce nasze, wrogi,
Co przed nimi drżyć nawykły, posiadły;
I depcą groby ich świętokradzkiemi nogi,
I szarpią kości ich świętokradzkiemi radły...

I — gorze stokroć! — właśni oto synowie
Straszniej jeszcze pamięci urągają ojców:
Strój i obyczaj biorą narodu swego zbojców,
I szukać sławy w wroga nie sromają się mowie...

Orzeł biały, skrzydłami srebrnemi,
Na których mężnym wpierw przywodzić zwykł,
Z okrzykiem wzgardy precz od karłów ziemi
Odleciał — i w chmurach znikł....

* * *

Lecz precz z żalami! precz! Bo oto już z nasiona
Dębów świętych, przed wiekami zwalonych,
Młode, jędrne wyrosły plemiona,
I promieńmi gałęzi strzelają zielonych...

I z natchnionych wieszczych pieśni słów,
Posianych w gorącą pierś młodzi,
Wszedł bujny plon — i oto już nam znów
Jutrznia olbrzymich czynów i poświęceń wschodzi...

Chwila jeszcze — a lud-olbrzym cały
Na dźwięk pieśni ze snu się ocuci;
I wolność z chwałą znowu do nas wróci,
Na dawne gniazdo wróci orzeł biały.

I pójdziem za nim znów — i w słowiańskiej wolności
Imię zawiedziem bój — gdzieś u błękitnej Odry:
Aż od krwi nurt jej zczerwienieje modry,
Aż zielony zbieleje brzeg od trupich kości...

A po walce zwycięzkiej, znów wieniec dębowy
Zabłyśnie, jako niegdyś, świętej czci znamieniem:
Wolnego ludu włożony ramieniem
Na zbawców ojczyzny głowy...

* * *

Krzew że się nam, o dębie! ty zielony drzew
Mocarzu! wieszczu ciemnych naszych lasów!
Na wieńce przyszłym zbawcom narodu się krzew!
I szum wspomnieńmi przeszłych, wróżbą przyszłych czasów!...

1845.

W SUKMANY!

(IMPROWIZACYA.)

W siermięgi, bracia, w sukmany!
Kto chce ludowi przywodzić,
Nie dość, że mu lud kochany,
W ludu szacie musi chodzić.

W kim głupstwo zjadło myśl zdrową,
Kto śmiechu głupców się boi,
Niech obcą przemawia mową,
Niech w obce szaty się stroi.

Próżna moda komu bogiem,
Kto dla ludu wzgardę roi,
Niech w obce szaty się stroi,
Niech się stroi równo z wrogiem.

My, Kościuszki idąc wzorem,
Bierzmy strój ludu uroczy:

Niech się duchem i pozorem
Polska w jeden lud jednoczy!

W siermięgi, bracia, w sukmany!
Kto chce ludowi przywodzić,
Nie dość, że mu lud kochany,
W ludu szacie musi chodzić! 1845.

CZARODZIEJSTWO ODINA.

Z starej Eddy. *)

Wiem ja jak stare runy się kréślą,
I jak ich tajną zawładnąć myślą.

Umiem pieśń czarów — skutek jej wielki
Od duszy smutek odgania wszelki.

Umiem ja pieśni takie, co zleczą
Słowy samemi niemoc człowieczą.

Znam pieśń, co niszczy wrogów podstępy,
Oręż ich ostry przemienia w tępy.

Umiem pieśń, więzy twarde co zrywa —
Wolnym ten będzie, kto ją zaśpiéwa.

Umiem pieśń, którą jeźli zanucisz,
Zgodę wśród braci zwaśnionej wrócisz.

Umiem pieśń, którą kiedy powtórzę,
Konają wichry i milkną burze.

*) Runutar Othins — z księgi Hawamal. Ponieważ pieśń ta składa się z zdań, ściśle z sobą niezwiązanych, odmieniłem nieco w przekładzie ich porządek, zbliżając przez to dwuwiersze, które mi treścią bliższemi sobie się zdały.

Spojrzeniem jednem czarne zamiary
Przenikam, niszczę złośliwe czary.

Umiem wisielca klątwą tajemną
Zwołać, by przyszedł rozmawiać ze mną.

Znam zdrój — kto ciało skąpie w tym zdròju,
Bezpiecznym będzie w morderczym boju...

Taka jest pieśń ma — wysoka, święta,
W skrytych mej duszy głębiach poczęta,
 Ludziom znajoma — lecz nie pojęta!

Błogosławieni, co ją słyszeli,
Błogosławieni, co ją pojęli!
 Obyż z niej korzystać chcieli!..

Z TRAGEDYI „OLAF SAMOZWANIEC“.

Adama Oehlenschlägera.

RAGNILDA
sama.

Tak! stać się musi. Dobędą spełnienia
Mnogich niespanych nocy mych marzenia,
Gdy przed mej chaty rozwartėmi wroty
Gwiazd tajemnicze śledziłam obroty.
Gdy zórz północnych blaski, niby rój
Widm, dziki taniec zawodziły swój,
To jako miotły rozczochrane, krwiste,
To jako mieczów głownie płomieniste.

Wśród wycia wichrów głos duchów brzmiał mi:
Do dzieła! pomścij znieważonej czci

Dawnych rycerzy!... Niedaj tym zuchwałym,
We srebrnych blachach, karłom zniewieściałym
Zatrzeć i pogrześć w niepamięci mocnych
Postaci dawnych mocarzy północnych.
Zdeptaj próżności południowy kwiat!
Na skałach naszych nie dla niego świat!...

Precz z rycerzami na toczonych koniach!..
W łodzi, na burzą rozhukanych toniach
Jaśnieć mężowi!.. Precz włócznie, rapiéry!
Dość bohaterskiej, trzaskać łby, siekiéry!..
Precz jedwab, szkarłat, drogie złotogłowy!..
Dość zgrzebna szata i pancerz stalowy!...

Groźny, jak niegdyś, z stromego urwiska
Skał, dotąd strasznym młotem swym Thor błyska..
We gnuśnym grobie nie zaginąć nam!
Z gruzów nowego zmartwychwstanie chram
Czci dawnej!.. Dłonią niewiasty zuchwałą
Co legło, wznieść znów niewieście zostało.

Z CÓRY SŁAWY

(SLAVY DCERA)

Jana Kollara.

I.

Pracuj každy s chuti usilownou..

Na narodu wyplenionej roli
Pracuj! każdemu ile starczy sił.
Zawodów tysiąc stoi wam do woli,
Byle by zapał i cel jeden był.

Głupiec, kto badać gwiazd ponocne drogi
W niebo wysyła nieuczony wzrok;
Błazen, do kroków niewdrożone nogi
Kto w sztuczny zawodzi skok.

Działaj! wielki li zawód twój, czy mały.
Wódz z szeregowcem równej godni chwały,
Gdy swych stanowisk w równej strzegą porze.
Nieraz w ukryciu rodzinnej zagrody
Więcej dla sprawy kraju i swobody
Zdziałasz, niż walcząc w wojennym taborze.

II.

O, tiech zlatych, staroslavskych, czasou...

O dawnych Słowian złoty wieku błogi!
Czyjeż dziś oko łzą się nie zaleje?
Któż dziś nie westchnie, czytając twe dzieje?
Chociaż narodu kreśliły je wrogi.

Nie znane były u naszych pradziadów
Klucze, zapory, szafoty, więzienia;
Ani się pojąć mogli ze zdziwienia
U swych niemieckich widząc je sąsiadów.

Obce im były kradzież i morderstwo,
Podstęp, obłuda, kłamstwo, przeniewierstwo;
Sędziwą starość młode plemie czciło.
Pieśni i gędźba w całym kraju brzmiały —
Gościnne wrota wszędy oścież stały...
Dzisiaj — niestety! wszystko się zmieniło.

III.

Kdybych miel berlu stokraińsku.

O, gdybyż przy mnie berło władzy było!
Gdybym mógł ręką zawładnąć zwycięzką!
Raz by się przecie na zawsze skończyło
Sąsiedztwo, wieczną co nam było klęską.

Od Adrjatyku aż ku bagnom fińskim,
Od Łaby po nurt Dunaju bystrego,
Nie żelaznemi słupami Chrobrego —
Granice murem opasałbym chińskim.

Tą bym ja tarczą od zguby ostatniéj
Zasłonił ciebie, o narodzie bratni!
Któremu, więcej gdy nie ma co brać
Wydarłszy wszystko, wróg twój — na ostatek,
Dziś się nie wzdryga z piersi twoich matek
Słowiańskie mléko twe ssać!..*)

ŻAL SŁOWAKA.

(Z M. J. Hurbana.)

Pójdź, ma piszczałko! Siądziemy na skale,
Po siwych górach puszczę twoje dźwięki.
Dni utrapionych niechaj głoszą żale,
Ciężkich mąk naszych niechaj głoszą jęki.
Gdzie nad narodem smutna przemoc włada,
Cichym się tylko jękiem żal spowiada.

*) Kobiety łużyckich Serbów — ostatniego wytępionej Słowiańszczyzny nadłabskiej szczątka — z powodu swej czerstwości i czystości obyczajów, szczególnie przez Niemców za mamki poszukiwane bywają.

Ucichły nasze harfy a cymbały,
I sława Wielkiej - Morawy przebrzmiała.
Wieszcze na lipach harfy powieszały,
Gdzie je złośliwa burza potrzaskała.
Skromne nam ledwie piszczałki zostały,
Któremi twarde rozbudzamy skały.

Czasami słowik z jaworów wzniesionych
W dół zlata, siada na ciemną olszynę,
I wśród gałęzi ukryty zielonych
Pociesza z wiosną słowiańską rodzinę.
Lecz wiatr przeciwny unosi słowika —
I wraz ostatnia pociecha z nim znika.

Smętna piszczałko! pójdź że tedy ze mną!
Twoim ja dźwiękom zwierzę moje żale.
Na gór wierzchołki, w lasów czeluść ciemną,
Pójdziemy — siędziem na najdzikszej skale —
Z góry do ludu zbiegną twoje dźwięki,
Niosąc pociechę, kojąc jego męki.

CZTERY ŹRÓDŁA.

(Z serbskiego, Preradowicza.)

Z Kosowskiego bojowiska
Czworakie tam źródło tryska.
Jedno mleka bielutkiego,
Drugie wina rumianego;
Trzecie bije strugą krwistą,
Czwarte wodą przezroczystą.

U krynicy pielgrzym stanie,
I zadaje jej pytanie:

Przecz te strugi mleka płyną?
— «By wykarmić dzieci twe.»
Przeczże to czerwone wino?
— «By ożywić serce twe.»
Przecz ten strumień bieży krwisty?
— «Żebyś z niego zemstę pił.»
Przecz ten wody przezroczystéj?
— «Żebyś z siebie hańbę zmył.»

PRZESZŁOŚĆ SŁAWIAN.

(Z serbskiego, Miłosza Popowicza.)

Oj! bywaliż my, bywali,
Czem dziś nie bywamy!...
Cośmy niegdyś posiadali,
Tego dziś nie mamy.

Oj! bywaliż my, bywali,
Sławnemi Sławiany,
Zwycięzkośmy przeganiali
Turki i Germany.

A dzisiaj!... złą nasza dola —
Obce kanie, kruki,
Zwyciężonym, powalonym
Serce rwą na sztuki.

Bywałyż u nas, bywały
Króle, wojewody,
Wojska mnogie, głośnej chwały,
Prawa i swobody.

Dziś korony i swobodę
Wzięły najezdniki,

I junaki nasze młode
W swoje stawią szyki...

Woli tylko, bracia mili!
A w niedługiej chwili
Odzyszczemy cośmy mieli,
Będziem czemśmy byli.

ŻALE DZIEWCZYNY.

(Z Schillera.)

Ciągną obłoki,
Szumi gęstwina...
Nad brzeg wysoki
Przyszła dziewczyna.
Wrą, łomą się fale w wezbranym potoku —
A ona w bezdennym utopiła mroku
Źrenicę łzami zalaną.

— «Serce zamarło,
Świat pustką stoi,
I myśl już więcej
Życzeń nie roi...
O matko! odwołaj do siebie swe dziecie!
Poznałam już wszystko szczęście na tym świecie —
Kochałam, byłam kochaną.

Słonym potokiem
Próżno łzy biegą!
Niezbudzą żale
Z grobu zmarłego!...
Cóż? zrzekęż się przeto uczucia, co było
Rozkoszą żywota? co pierś uzacniło
Boskiej promieniem światłości?...

O, niech łzy słone
Do woli biegą!
Nie zbudzą one
Z grobu zmarłego —
Lecz chwile rozkoszy bezzwrotnie gdy miną,
Dla duszy zranionej pociechą jedyną
Są łzy i żale miłości!

CICHA NOC.

(Piosnka pod nutę łużycko-serbską.)

Boże słończko do gospody
Zaszło, do snu złożyć skroń.
Mgły wilgotne wstają z wody,
Z łąk wieczorna wieje woń.
W wieńcu gwiazd,
W płaszczu chmur,
Cicha noc
Schodzi z gór.

Zadumany, cichy, senny,
Otulony w srebrnej mgle,
Księżyc uścisk swój promienny
Rozmarzonej ziemi śle.
W błogich snów
Rajski kwiat
Cicha noc
Sieje świat.

I w wzburzone moje łono
Błogo tchnie jej cichy czar.
Ciche wiatry chłodem wioną
Na rozdartej piersi żar.

Trosk i dum
Czarnych tucz
Deszczem łez
Spada z ócz.

Ach! kiedyż mi będzie dano
Ujrzeć cichy nocy wschód
I księżyca twarz rumianą
W przezroczy ojczystych wód?
Serca żal
W Wiśle zmyć,
I z jej fal
Spokój pić?

DO ADAMA MICKIEWICZA,

przesyłając mu Wieżę Siedmiu Wodzów.

Zabłąkanemu między obcemi,
Kędyś, nad Sekwaną dżdżystą,
Ze czci wyrazem, z ojczystej ziemi
Baśń Ci posyłam ojczystą.

Tęczą promienną przesięga ona
Przepaść czasu dziesięć-wieką.
Tęcz to nadziei jasnych, rzucona
Z przeszłości w przyszłość daleką!

Ja w niej widziałem tęczę proroczę
Przeznaczeń naszego ludu;
I wypełnienie ufam że zoczę
Zwiastowanego w niej cudu.

Tyś mi zaś jednym z siedmiorga onych
Cudownym wodzem - śpiewakiem,
Na bój, pod Boga słonecznym znakiem,
Budzącym z grobu uśpionych.

1850.

DZIEWCZYNA U ZDROJU.

(Z serbskiego, Radiczewicza.)

Jakem poszła w wieczór wczora
Z zdroju świeżej czerpać wody,
Tu na bystrym dopadł koniu
Chłopiec młody, bystro-oki.
Pozdrowiwszy rzecze do mnie:
«Daj się napić, dziewcze młode.»

Te wyrazy — słodkie strzały —
Na wskróś serce mi przeszyły.
Poskoczyłam, postąpiłam —
Białą dłonią dzban podaję —
W tem dzban wypadł z drżącej dłoni
I rozprysł się w dwoje, w troje...

Dotąd leży roztrzaskany —
Lecz, ach! kędyż jeździec młody?
Byle raz go ujrzeć jeszcze
I drugi dzban zbiję rada!

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE.

Pytasz: gdy ucho moje zachwyca
Arcymistrza dzieło szczytne,
Czemu się w twoje wpatruję lica
I w twoje oczy błękitne?...

Kiedy wspaniały koncert przyrody —
Letnia odzywa się burza,
Ja lubię siadać nad brzegiem wody,
U drzew szumiących podnóża.

Wsłuchany w wielki zamęt ten dźwięków:
Szumu lasów — trzasku łomów —
Sierocych w polu grusz dzikich jęków —
Wycia wichrów — bicia gromów —

Wzrok zachwycony topię w odbicie
Niebios, jak morze wzburzonych,
Chmur poszarpanych, błysków czerwonych,
W ruchomej fali błękicie.

Niby podemną stado za stadem
Tych widm rozczochranych ściga —
Niby podemną po tle ich bladem
Tysiąc ognistych żmij miga...

Patrząc i marząc, już zapominam
O ziemi — już, już się zda mi
Orle gdzieś skrzydła w górze rozpinam,
Nad ryczącemi chmurami.

Aż, tchnieniem wichru porwanej piany
Pocałowaniem wilgotnem
Zbudzę się nagle, rozczarowany,
Po nad jeziorem samotnem...

Tak, gdy powietrza morze milczące
Zawichrzy burza harmonii —
Gdy całe drżące, w tonów tysiące
Grzmi, wre, huczy, śpiewa, dzwoni —

Gdy owładnione czarem ich łono,
Gdy serce bije wysoko —
Z równym zachwytem w twą twarz natchnioną,
W twe jasne spoglądam oko.

Jakże uroczo w ich się przezroczy
Zwierciedli dźwięków gra cała!
To niebo źrenic łza smutku mroczy,
To grom zapału z nich pała.

To w zadumaniu, splot hebanowych
Włosów na lica cień ciśnie —
To z uśmiechnionych ust koralowych
Rząd jasnych pereł zabłyśnie...

Własnych mych uczuć w anielskiej twarzy
Cudowne widząc wcielenie,
Oczarowane serce me marzy
Rozkoszne, rajskie marzenie:

Że jak ta biała jeziora piana,
Na twarz mą wichrem rzucona,
Potęgą zgodnych uczuć porwana,
Upadniesz w moje ramiona.

I jak się zgodnych dwojga strun brzmienia
W harmonijną jedność plączą,
Tak nasze usta, tak nasze tchnienia
W jeden się akord połączą...

Otóż masz szybkim rymem spisaną
Z uczuć i snów moich spowiedź.
Sny moje kiedyż ciałem się staną?
Winnaś mi teraz odpowiedź.

Nie brudnem piórem — nie w rymach brzmiących,
Nie żadnym językiem ziemi...
Pójdź! niech ją sobie usty drżącemi
Z ust twoich wezmę milczących.

ZABŁĄKANA.

(Podsłuchany głos z poddasza.)

Oh, jak smutneż jest to życie!
Mój Boże!...
Jak to w bajce biedne dziécie,
Zbłąkane w borze —

Próżno woła, próżno huka:
Mój Boże!
Próżno na świat drogi szuka,
Znaleźć nie może —

Szukam, wołam, nadaremno —
Mój Boże!
Od łez, głodu, w oczach ciemno,
Zewsząd bezdroże.

W puszczy ludzi bez miłości —
Mój Boże!
Już ja tu me młode kości,
Marnie położę!...

W uszach dzwony niby dzwonią —
Mój Boże!
Powieki się gwałtem kłonią...
Czyż je otworzę?...

Niechbyż choć nad mą mogiłą —
Spraw Boże!
Choć dla drugich zaświeciło,
Miłości zorze! 1855.

NA GROBIE JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Klątwy istnienia pęty żelaznemi,
Orle niebieski! do klatki skowany,
Krwawiąc pierś własną twardemi kajdany,
Z krzykiem rozpaczy rwałeś się od ziemi.
Aż, bezustannem szamotaniem ducha
Stargane, pękły ogniwa łańcucha —
I ty, na trupie postawiwszy nogę,
Odszedłeś w duchów tajemniczą drogę.

Gdzieś — przez milczące wieczności przestworze —
Kroczysz, stąpając po gwiazdach błyszczących,
Jak pątnik górskich rzek wezbrane łoże
Po głazach z głębi przebywa sterczących.
Toż, chociaż w sercu smutno mi po tobie,
Dziwnie spokojny stoję na twym grobie;
Tak pewien jestem, że, jeźli ta droga
Ma koniec, dowieść musi cię do Boga.

Wszakże, pod kształty jak bądź promiennemi
Drogę ci ducha spełniać się dostało, —
Gdziekolwiek pójdziesz, wiem, przez wieczność całą,
Smętny że będziesz zwracać wzrok ku ziemi.
I wszystko niebios wesele tej twojéj
Wielkiej boleści wiém że nie ukoi,
Aż nie zobaczysz: że spełnienie wzięło
Na ziemi święte odkupienia dzieło.

Więc, jeżeli cię zdradziecko nie zwiodły
Życia twojego wiara i nadzieje;
Jeżeli mają władzę duchów modły
Na losy ziemi, na ludów koleje;
Módl się o jedno! którąś był natchniony,
Niech Bóg rozdzieli miłość na miliony —
A odkupionej siłą tej miłości
Drogiej twej ziemi błyśnie dzień wolności. 1855.

NA ROZSTAJU.

(W noc nowego roku.)

Idź więc twą drogą! a ja pójdę moją...
Wezbrane piersi nie pękną o mało —
W mękiem mem oku dwie łzy straszne stoją —
Drżenie boleści wstrząsa całe ciało —
Gdy to wymawiam!... Ach! i nie wiem, czego:
Mego mi szczęścia więcej żal? — czy twego?...

W nocy zwątpienia uśmiech twój łagodny
Błysł mi, jak księżyc, co się z chmur wychyli;
A jam zamarzył, że ten blask pogodny
Rozwidni ścieżkę dni mych i umili.
Niestety! zaszedł!... tylko noc złowrogą
Straszniej dał uczuć!... Ha! idź więc twą drogą!...

Mogłaś się słońcem stać! i w sercu, skrzepłem
Mrozem zawodów, w ciężkich walk zawiei,
Promieniem oka, tchnienia twego ciepłem
Ożywić ziarna niedoszłych nadziei.
Dla ciebie szczęścia wszedłby z nich myrt biały,
A dla narodu — może — wawrzyn chwały...

Dłoń w dłoni z tobą, szlibyśmy ku górze,
Przez ścieżki — nieraz może i cierniste,
Lecz gdzie wśród ciernia rajskie wonią róże,
I orzeźwienia biją zdroje czyste;
Kędy duch boży wieje — i w dniach troski
Spokój tchnie w serca kochające boski...

Ty dłoń usuwasz — idź więc drogą twoją!
Nie będę więcej szukać twego oka...
Pierś mą okryję twardą dumy zbroją...
Niemy i chłodny będę, jak opoka...
Choć bólu serca wola nie przemoże,
Jak mąż mą drogą pójdę, w imie Boże!

A ty — idź twoją!... Znam tę drogę, co cię
Powiedzie w krótkiej do grobu podróży!..
W nudy i brudów powszednich bródź błocie!
Spragnione serce pój z gniłej kałuży!..
Aż sama zadrżysz, widząc twarz twa cudna
Jak prędko zwiędła i stała się brudna.

W nocy bezsenne wtenczas moje smętne
Widmo ci stanie w oczach, zlanych łzami...
Z krzykiem rozpaczy wyciągniesz namiętne
Dłonie — lecz przepaść znajdziesz między nami.
Klnąc sama sobie krótki wiek przeszlochasz...
Ach! czemuż grzebiesz przepaść tę, choć kochasz?..

Ostatnią chwilę tę — nim dzwon jęczący
Zwiastuje roku skonanie — ja jeszczem,
Po raz ostatni, przy twym boku — drżący,
Ostatnim życzeń i nadziei dreszczem...
Wybił!.. Odtąd się drogi nasze dwoją!
Idź twoją drogą! — ja odchodzę moją.

W IMIONNIKU A. K.

Ja Sławianin — ty Sławianka —
Siostraś mi krwią i imieniem.
«Ja wygnaniec — ty wygnanka» —
Jednem wzdychamy westchnieniem.

Więc gdy los nam dziś tak zdarza
W obcym się poznawać kraju,
Od polskiego przyjm pieśniarza
Te słów kilka na rozstaju.

A jeżeli w twoim domu,
Na pustym Dunaju brzegu,
Przyjdzie kiedy z moich komu
Szukać strzechy do noclegu —

Wspomnij, siostrą że cię zwałem,
Gdzieś, w dalekiej stronie świata,
I w mą pamięć sercem całem
Przyjm w tułaczu twego brata.

PIEŚŃ PIELGRZYMÓW.

(Z zaginionej powieści Przednówie.)

Z stromej opoki
Na świat szeroki
  Jaśnieje Częstochowa.
W niej ciemnolica
Bogarodzica —
  Tron ma polska królowa.

Gwiazda zaranna,
Przeczysta Panna,
Źródło orzeźwiające;
Puklerz nieżżyty,
Gród niezdobyty,
Nadziei jasne słońce.

Kto przy Niej szczerze
Dostoi w wierze,
Przy tym statecznie Ona;
Pierś zbroi męztwem,
Darzy zwycięztwem —
Wojwodza niezwalczona.

Nie pierwsza ci to
Na tę obfitą
Polską naszą ojczyznę,
Szarańcza sroga,
Spadła ćma wroga,
Pustosząc łany żyzne.

Nie pierwsze ci to
Na kark nam wbito
Twarde przemocy pęta!
Lata niedoli,
Wrażej swawoli,
Mnogie kraj ten pamięta.

Wszak, w klęsk nawale,
Kto wytrwał stale
Przy Maryi znamieniu,
Wiele ich było,
Przed wrogów siłą
Nie upadł w pohańbieniu.

Wtedyśmy padli,
Gdyśmy pobladli
Sercem przed liczbą wroga;

Gdyśmy zwątpieli:
Mnóstwu może li
Sprostać święta moc Boga.

Więc choć na nowo
Dziś nam nad głową
Wróg zwycięzki przewodzi;
Choć w nasze domy
Nowemi gromy
Co dzień zła dola godzi —

Ty, polski ludu!
Patrz w gwiazdę cudu,
W złoty tron Częstochowy!
Wolnym się staniesz,
Skoro powstaniesz
W imię twojej królowej.

O ciemno-lica
Marya dziewica!
Tyż nam twą łaską daj
Stać się godnymi
Rycerzmi twymi,
Godnymi zbawić kraj!

A kiedy staniem,
Pod twem wezwaniem,
Krew za ojczyznę lać,
Poległym w boju
W wiecznym pokoju
Rajską racz światłość dać!

1856.

NA DAWNYM SZLAKU.

Witaj mi! witaj! znajoma dolino!
Niezapomniana, choć dawno żegnana!...
Srebrny strumieniu! cienista olszyno!
Wiosko na stromym brzegu rozsypana!...

Czy mi się zdało? czy się tylko śniło,
Długa rozstania że nas dzieli pora?...
Wszystko jak było! nic się nie zmieniło!
Jakbym pożegnał wszystko ledwie wczora.

Na wzgórzu szumi jabłoń rosochata,
Brzoza złociste puszcza na wiatr włosy;
Nad suchą wierzbą bocian z gniazda wzlata,
Smug więdniącemi wonieje pokosy...

Sto krętych ścieżek wije się po smugu —
Ach! ja nie zbłądzę w ich zielonej matni!...
Oto jest ścieżka, po nad brzegiem Bugu,
Którą jechałem tędy raz ostatni!

Jakżeż rozkosznie, żywo, dumnie, błogo
Biło mi serce, gdym zdążał tym szlakiem!..
Koń biegł jak strzała — jam go bódł ostrogą,
Chciałem skrzydlatym żeby stał się ptakiem...

Dziś, ze spuszczoną głową koń mój kroczy,
Zrywając trawy na lewo, na prawo;
Ja schylam czoło — i czuję jak oczy
Coraz mi ciemniej mgłą zachodzą łzawą.

Stój! stój! od brzegu zawróć, koniu siwy!
Nie ma bystrego po co przebyć brodu!
Nikt nas nie czeka w szpalerze ogrodu,
Nikt ci jedwabnej nie pogładzi grzywy!...

Wszystko zostało, jak kiedyś bywało,
Nic się, ach! nic nie zmieniło!...
Jedynie serce, co mnie tu kochało
Śpi już pod zimną mogiłą!...

Pędź, pędź! mój koniu, lotem błyskawicy!
Świszczącą strzałą siecz wiatry szumiące!..
Niech osuszone z twarzy łzy gorące
Nie zdradzą ludziom serca tajemnicy...

A teraz, koniu! rozstać się nam obu!
Dzięki ci! dzięki twej wiernej posłudze!..
Wracaj wesoły do twojego żłobu!
Ja, smutny, wracam między ludzie cudze.

1858.

PIOSNKA DZIEWCZĘCIA.

(Z fińskiego.)

O, gdybyż wrócił mój ukochany!
Wrócił tak dawno nieoglądany!
Chciwie bym w jego usta się wpiła,
Chociaż by wilcza krew je broczyła.
Chciwie bym jego chwyciła dłonie,
Choć by się żmije obwiły o nie...

Gdybyż pojmował ludzkie boleści,
Gdybyż miał rozum wietrzyk wiośniany!
Od niego do mnie by naprzemiany
Biegał, kochankom przenosząc wieści...

Zrzekę się wszystkich łakoci w świecie —
Tłustej z księżego stołu pieczeni —
Niechaj się tylko dla mnie nie zmieni
Drogi chłopczyna, co poznał w lecie,
Co mnie pokochał w mroźnej jesieni!

ZIEMSKIE DROGI.

(W imionniku — młodemu na drogę.)

Przez noc droga do świtania —
Przez wątpienie do poznania —
Przez błądzenie do mądrości —
Przez śmierć do nieśmiertelności.

W IMIONNIKU J. S.

— «Wpisz też i pan jakie słowo!
«Oto pióro i atrament...»
Co pisać? — gdy sercem, głową
Wichrzy uczuć, myśli zamęt..

Ze zamętu słowo boże
Wywiodło niegdyś świat nowy —
I mój duch zdołał by może
Słonecznemi trysnąć słowy...

Ale — wiersz raz napisany,
Między ludzi w obieg idzie,

Jako lichy grosz miedziany —
I w złe nie raz ręce przydzie.

Zamiast więc duch wieszczy w jasnych
Słów-słońc rozstrzelać firmament,
Lepiej w głębi piersi własnych
Zawrę ten kipiący zamęt.

I zakończę, jak najskromniéj,
Ten szereg rymów bez myśli,
Prośbą: niech czasem przypomni
Dłoń życzliwą, co je kréśli.

O MROŹNYM RANKU.

Bladolica
Czarownica
Biegunowych pustych mórz,
Zawitała
Zima biała
W bujnej ziemi złotych zbóż.

Kraj, z wieczora
Jeszcze wczora
Tęsknego pełen uroku,
Oniemiały,
Trupio biały,
Z porannego wstaje mroku.

Nad wrotami,
Nad płotami,
Nad ogrodu kląby siwe,

Gwarna rzesza
Wron się wiesza,
Roździawiając dzioby krzywe.

Oszronione,
Zbezwładnione,
Smutne drzew przydróżnych pary,
Jak żałobnych
Widm nadgrobnych
Szereg, w mgle majaczą szaréj...

W tem — nad szronem
Ubielonem
Milczących przestworzem łanów,
Purpurowa
Słońca głowa
Wynurza się z mgły tumanów.

I ten cały
Omartwiały
Świat posępnych, bladych larw
Lśni się — pali —
Skrzy — kryształi —
W nieskończoność cudnych barw.

Szmaragdami,
Opalami,
Lśni łąk dywan srebrnolity;
Drżąca trzcina
Czoła zgina,
Brylantowe trzęsąc kity.

Z pod tającej
Pleśni lśniącej
Liście klonów, brzóz, osiny
To migocą,
To się złocą,
To rumienią jak rubiny.

Ze strzelistych,
Pozłocistych,
Młodocianych świerków berł
Szemrząc spada
W dół kaskada
Przezroczystych, bujnych perł.

Po malinach,
Po leszczynach,
Jesiennej przędzy pajęczéj
Wiotkie szmaty
Drżą jak kwiaty,
Strojne w wszystkie skarby tęczy...

Z wyżyn blada
Mgła opada,
I nakształt spienionych fal,
Jak szeroko
Sięgnie oko
W złudną się rozlewa dal.

Z nad jej łoża,
Niby z morza
Czaro-wyspy wyłonione,
Lasy, wzgórza —
Kraj wynurza
Swoje czoła zapłonione.

Z bielejących
Siół milczących
Sto wstęg w niebo dymy wiją;
Z wieżyc szczytów
Do błękitów
Złote ognia słupy biją.

Po nad niemi
Olbrzym ziemi,
Piramida Babiej-góry,

Pysznie płonie,
W chmur koronie,
W płaszczu z srebra i purpury...

W spromienieniu,
W przemienieniu
Czarodziejskiem tem twej krasy,
Z góry twemi
Żegnaj że mi,
Cudny kraju! z twemi lasy.

Zakowany
W martwe ściany
Miejskiej mojej klatki ciasnej,
Tak jak teraz,
Śnić cię nieraz
Będę w tej przemianie jasnej.

Lecz koń czeka —
Rży — daleka
Przypomina, że nam droga...
Czarolico
Okolico!
Pozostań mi w łasce Boga! 1860.

POCHWAŁA WINA.

(Z wschodniego poety Mirza-Szafi.)

Z głębi czary przezroczystéj,
Z słodkiej krwi winnej jagody,
Bije jad i nektar czysty,
Wzniosłość i spodlenie bije —
Wedle darów i przyrody
Biesiadnika, co z nich pije.

Gdy w obrzydłem zbydlęceniu
Głupiec upada pijany,
Człek ducha, winem rozgrzany,
W boskiem wznosi się natchnieniu.

Z ust anielska mową wionie,
Myśl promienne tęcze snuje;
Dwakroć żywiej serce płonie,
Dwakroć każdy wdzięk czaruje.

Wino jest jak ten deszcz boży —
W błoto spadły, błoto mnoży;
Lecz na żyzny łan spuszczony,
W kwiat i w złote strzela plony.

PIOSNKA CYGANÓW WĘGIERSKICH.

Za obłokiem obłok bieży —
Przez nie miesiąc świeci...
W szczerem polu do wieczerzy
Cygan ogień nieci.

Wolny buja jeleń w borze,
Łosoś pływa w toni;
Wolny orzeł wiatry porze —
I my tak, jak oni!

— «Pójdź, dziewcze, żyć ze mną w dworze!
Dam ci szaty drogie,
Stół wytworny, miękkie łoże,
I służebne mnogie.»

Sprobuj! czy ci orzeł płowy
Wleci w klatkę złotą!
W złotą uzdę koń stepowy
Czy da łeb z ochotą!

Step zielony łożem, stołem —
Niebo za pokrycie —
Dni nienękane mozołem —
To cygańskie życie!

Wolny buja jeleń w borze,
Łosoś pływa w toni;
Wolny orzeł wiatry porze —
I my tak, jak oni!

PIOSNKA KOPTYJSKA.

(Z Goethego.)

Niech tam sobie mędrcy co chcą żywnie radzą,
Co błąd a co prawda, jak chcą niech się wadzą;
Na jedno się godzą wszyscy mędrcy ziemi:
Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
Śmiejąc się z nich, głupców niechajcie głupiemi!

Sam Merlin zgrzybiały — we swoim kurhanie
Cudownie olśnionym — kiedy go o zdanie
Pytałem, słowami odprawił mnie temi:
Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
Śmiejąc się z nich, głupców niechajcie głupiemi!

W przybytkach Braminów na indyjskich górach,
W egiptskich piramid tajemniczych murach,
Wszędy sąd brzmiał jeden języki różnemi:
Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
Śmiejąc się z nich, głupców niechajcie głupiemi!

CZTERY OBOWIĄZKI.

(Przypowieść wschodnia.)

Do Mahometa, jako przystoi,
Ze czcią, przystąpił młodzian nieśmiały.
— «Pomarli» rzecze «rodzice moi.
Chciej mnie pouczyć: czy więc ustały
Me obowiązki względem nich wszelkie?»

— «O, nie! Zostały cztery — i wielkie!
Do Boga modły wznosić za niemi;
Długi ich wiernie spłacić na ziemi;
We czci zachować, co szanowali,
Strzedz od ruiny, co zbudowali.»

DOBRA RADA.

(Przypowieść wschodnia.)

Na wiernych swoich zastępów czole
Przeciw niewiernym Prorok ciągł w pole.
Dosiągłszy blizko wroga wieczorem,
Na noc swe wojsko stawia taborem,
Nie bacząc na to, że w okolicy
Nigdzie strumienia, ani krynicy.

Na to doń Arab przystąpi stary.
— »Pozwól się spytać, pochodnio wiary!
Z natchnienia Boga czy tak poczynasz,
Że na tem miejscu obóz rozpinasz?»
— »Nie. Bóg mi o tem nic nie objawił.
Po własnem zdaniu wojskom tak sprawił.»

— «Skoro tak, rada nie będzie grzechem!
Radzęć więc: zmień twój rozkaz z pośpiechem,
I przenieś obóz tam, gdzie w dolinie
Zdrój chłodnej wody obficie płynie.
Byś, kiedy zagrzmi okrzyk: do broni!
Nie wiódł zwątlonych ludzi i koni.»

Uznając słuszność, Prorok wnet spieszy
Nowe rozkazy wydać swej rzeszy.
Możnym i mędrcom na pamięć wieczną
Przykład podając: jak użyteczną
Radę ochoczo przyjąć się godzi,
Z jakbądź poziomych ust ta pochodzi.

Bóg to tak w swojej mądrości zrządził,
W wyborze miejsca że Prorok zbłądził.
Próżności ludzkiej na pokazanie:
Mąż nawet boży że nie był w stanie,
Bez rady bliźnich, ustrzedz się chyby —
A jakoż grzeszni ludzie chcieli by?

MIECZ AMRU.

(Przypowieść wschodnia.)

Przez mnogie miasta, wielkie pustynie,
Miecz Amru*) z cudnych przymiotów słynie.

---

*) *Amru*, bohater i wódz plemienia Karaiszytów, w których obwodzie leżała Mekka. Jeszcze za życia Mahometa uznał posłannictwo i zwierzchnictwo jego.

Jak wiotkie kłosy łby końskie zmiata,
Od głów do siodła w pół jeźdzców płata.
Najhartowniejszej żelazo zbroi
Przed jego ciosem się nie ostoi.

Rycerski Omar,*) poznać ciekawy
Miecz tak wielkiego hartu i sławy,
Do wodza Amru wyprawia posły,
By mu na pokaz oręż przyniosły.
Amru, ochoczo od boku broń
Odjąwszy, w posłów składa ją dłoń.

W pośród namiotów zasiadłszy kołem,
Omar, z rycerstwa swojego czołem,
Okiem świadomem ceny brzeszczotów
Śledzą słynnego miecza przymiotów.
Każdy wstrząsł tylko głową — i znowu
W kolej badają ostrza i kowu.
Sto silnych w kolej doświadcza ramion —
Żadnych nadzwykłych nie widzą znamion.
Wreszcie, sąd wszyscy wydali zgodny:
«Zbytniej swej sławy miecz ten nie godny.»

Z takim wyrokiem do swego pana
Ręku broń wraca wyprobowana.
Amru wysłuchał sądu cierpliwie.
— «Zdaniu się temu zgoła nie dziwię!
Oręż mój swojej sławie nie kłamie;
Lecz do oręża należy — ramie.«

*) *Omar*, ojciec jednej z żon i drugi z kolei (po Abubekerze) następca Mahometa.

POWIASTKI I OBRAZY.

NOC S. JANA.

(Podług powieści gminnej.)

Ostatnie podźwięki świątecznego pienia
Przebrzmiały na Narwi pobrzeżu piaszczystem;
Wieczornej Sobótki ostatnie płomienia
Rozwiał wicher chłodny z przeraźliwym świstem.

I ciemno dokoła, i smutno dokoła —
Wód tylko pierś miękka brzmi cichym oddechem,
I wzgórków jałowych obnażone czoła
Dalekich piorunów rozmawiają echem.

A po nad górami, a po nad lasami,
Co z wichru głosami gwarzą długim szumem,
Jak rój widm, splątany w fantastyczne tany,
Szarawe chmurzyska przeganiają tłumem...

Otóż cudów godzina — oto czarów czas!
Dalejże! ktoś śmiały piekłu stawić czoło,
W odludne ustronie, w bezdrożny spiesz las;
Potrójnym się kręgiem opisz na około.

A północ nad tobą wnet burzą zaryczy;
Wśród błyskawic, gromów bicia,
Cudownemi blaski wystrzeli z powicia
Paproci kwiat tajemniczy.

I szatan widomie stoczy z tobą bój,
Rój strachów na ciebie i zdrad zwiedzie rój;
Aż kiedy rumianej zaświeci blask zorzy,
Jak niewolnik panu, tobie się ukorzy.

Tylko biadać! biadać! jeźli koła progi
Przestąpisz, jutrzenka zanim wznijdzie blada!
Wieczyste cię piekła pochłoną pożogi —
Biada ci! na wieki biada!...

I słyszał to strzelec, strzelec jeden śmiały
I piersi mu żądzą niecierpliwą wrzały;
A kiedy straszliwych nadszedł czarów czas,
Pochwycił broń wierną i biegł w czarny las. —

Jako jeleń dziki, gnany łowców krzyki,
W lot przemknął nadbrzeżne równiny;
I oto — już drze się po bezdrożnym lesie,
Przez chrapy, przez gąszcze leszczyny.

I stanął nareszcie, gdzie stary lat dwieście
W zwierciedle strumienia przeziera się bór...
A nad nim obrzydły, żałobnemi skrzydły,
Zaszumiał spłoszony nocnych ptaków chór.

On spojrzał — na chwilę myśl trwożna przelotnie
Mignęła — lecz zgasła wnet na męzkiej skroni;
I końcem swej wiernej, poświęconej broni,
Czarownem się kołem opisał trzykrotnie.

Sosn suche gałęzie na gromadę kładł, —
Skrzesał na panewce i podpalił stos, —
I ogien rozniecił; — i na miękki wrzos,
Przy dymnem ognisku, jak na łoże, padł.

I z torby wydrzanej wziął wódkę i pije,
Na głos piersią całą nucąc piosnkę wieszczą...
A płomienie trzeszczą — a puchacze wrzeszczą —
A wicher szaleniec wyje......

Północ! — Deszcz błyskawic lunął
Krwi potopem na świat.
Grad piorunów z trzaskiem runął —
Czarodziejski pęknął kwiat.

I morze pojących polało się woni —
Cudowną jasnością olśnięty,
Jak gdyby posiany cały dyamenty,
Posępny się las skrzy, migoce, płoni...

Zobaczył myśliwy te nadziemskie dziwy -
I w krzewie paproci, co pod jego nogi
Zakwitał wspaniale, utopił wzrok chciwy —
I dłonią łakomą uchwycił kwiat drogi...

Wraz śmiechem weselnym i rykiem piekielnym
Larw mnoga zagrzmiała tłuszcza;
I ziemia się pali, i z hukiem się wali
Ze wszech stron odwieczna puszcza...

Zimnym trwogi potem ściekła strzelca skroń —
Obiedwie źrenice w skrzepłą ukrył dłoń;
Jak trup cały blady, i zimny jak trup,
Stanął niewzruszony, jak kamienny słup...

A kiedy zbielałe znów oczy odsłonił,
Tylko liścia nad nim szeptało sklepienie;
I strumień żałośnie po krzemieniach dzwonił,
I blade w ognisku skwierczały płomienie...

Tam — co to tak świeci, z po pod żółtej ziemi,
Głęboko, pod sośni olbrzymiej wywrotem?
To kotły, ładowne pod wierzch srebrem, złotem,
I pereł sznurami, kamieńmi drogiemi.

Dojrzał ich młodzieniec — i skwarny rumieniec
Na licach wybił mu chłodnych;

I próżno się sili, próżno głowę chyli
Od skarbów widoku zwodnych.

Bo gdzie głowę zwróci, kędy tylko rzuci
Iskrzącą od żądzy źrenicą,
Pod każdem wnet drzewem, pod każdym wnet krzewem,
Srebro, złoto z ziemi świécą.

Lecz świécą daremnie, łudzą go daremnie!
On, jakby wrósł w ziemię, chociaż żądzą płonie. —
Aż wreszcie, tajemnie, w mrocznem ziemi łonie
Przepadły, jak wyszły tajemnie...

Czyjeż to tam prośby? czyjeż to tam groźby?
Czyj że tô z gęstwiny jęk słychać stłumiony?
Zbójcy są to groźby, a starca te proźby —
A starzec, to ojciec myśliwca rodzony.

Przed zbójcą drżącemi czołga się kolany,
I żebrze, i trwożny wzrok wodzi do koła —
W tem zobaczył syna — i żałośnie woła:
«Ach! ratuj mnie, ratuj! mój synu kochany!»

On widzi, on słyszy... co czynić sam niewie —
To żal go, to zgroza, to trwoga ogarnie;
I cierpiał tak straszne w swem sercu męczarnie,
Jakby go już piekła paliło zarzewie...

Na ziemię się rzucił — i dłońmi obiemi,
Jak kret, pazurami w wilgotnej rył ziemi,
I w uszy obiema rękoma ją tkał —
A w uszach rozpaczny głos starca mu brzmiał...

A co jeszcze widział, i co słyszał jeszcze,
I serce jak straszne ziębiły mu dreszcze,
Żadna tego ludzka niewypowie mowa —
Jak piekła, zdrad jego nieogarną słowa.

Przecież sercem stałem odparł rój ich cały;
I za nim na niebie zajaśniał świt biały,
Szatan, jakby wstydny daremnego boju,
Śmiałego zwycięzcę porzucił w pokoju...

Z po za chmur pogodne przejrzały niebiosa —
Pomiędzy gwiazd drobnych promiennemi roty,
We mglistym się rąbku snuje księżyc złoty —
Po liściach trzepoce brylantowa rosa...

Lecz czyjeż to szaty bielą nad strumieniem?
Toż anioł zbiegł z nieba po blasku księżyca?...
Z płonącem spojrzeniem, z brzmiącem w ustach pieniem,
W lotnej z bieli szacie, wybiegła dziewica.

Po licu rumianem, po łonie jej śnieżnem,
Zwój spływa złocistych warkoczy;
Pierś jej tchnie rozkoszą — a okiem lubieżnem
Młodzieńca spotkała oczy.

Olśniony, złudzony spojrzenia urokiem,
Zapomniał myśliwiec i czarta i trwogi:
I razem, za koła czarodziejskie progi,
W objęcia dziewczyny pobiegł jednym skokiem...

I wraz zatrząsł puszczą śmiech i wrzask szalony,
Z pod stóp strzelca płomień wybuchnął czerwony,
I w piekło przepada — z nim czartów gromada —
Biada mu! na wieki biada! —

SIEROTA:

(URYWEK.)

Blask purpurowy rannej jutrzenki
Na pogodnem błysnął niebie;
I umalował barwy złotemi
Wschodnich obłoków kolumny.
I dumne czoła olbrzymich zamków,
Stróżów starego Mazowsza —
I wzgórz piaszczystych nagie wierzchołki,
Potokami poorane —
I smutnych sosen wybiegłe szczyty —
Rumieńcem zorzy spłonęły.

Poranek jaśniał w całym uroku, —
Tylko jeszcze, niespłoszona,
Tęskna kochanka mgłego księżyca,
Cisza, w przestrzeni drzemała.
Milczący ziemia ze snu wstawała;
Tak miłością pełne łono
Z cicha się wznosi burzą namiętną,
Nim się zeń wyrwie westchnienie.

Aż oto na raz — gdzieś — niedojrzany,
Powietrzny zabrzmiał skowronek.
Zabrzmiał w niebiosach — i wnet na ziemi
Tysiące głosów mu wtórzy......

Cienistą ścieszką, przez Puszczę-Zieloną,
Leniwo kroczył samotny młodzieniec.
Nędzne miał szaty, kij dębowy w dłoni,
Głowę na piersi ponuro zwieszoną.
Lecz gdy na chwilę podniósł ją do góry,
Z zacienionego kruczym włosem czoła,
Przez czarne smutku i boleści chmury,
Świeciła wielka i gorąca dusza;
A z żywych oczu płomieniem strzelały
Namiętne żądze i zapał młodzieńczy,
Nieprzygaszone strumieniem łez słonych,
Co mu brózdami znaczyły twarz bladą.

I dziwnie było patrzeć na te lica,
Lśniące mętnemi gorzkich łez kroplami,
Wśród kwiatów świeżych i liści jedwabnych,
Zwilżonych niebios przezroczystą rosą.
Lecz gdybyś zajrzał w głąb piersi młodzieńca,
Już byś się więcej łzom jego nie dziwił;
I jeźli, w świata trujących objęciach,
Jeszcze twe serce w lód się niezmroziło,
Sam byś zapłakał. —

Młodzian był sierotą,
Nieznanej matki, nieznanego miana.
Niegdyś, w jesieni, o pierwszym dnia brzasku,
Ode mgły rannej w przesiąkłych powiciach,
Drobnem go w lesie znalazł niemowlęciem
Dworski myśliwiec — i wziąwszy na ręce,
Zaniósł na zamek przemożnego pana.
Tam rósł sierota, w sług zgiełkliwym tłumie,
Karmiony twardym miłosierdzia chlebem.
Najpierwsze jego wpółwyraźne słowa —
Serc rodzicielskich najmilszą pociechę —
Głuszyły krzyki i wrzawa pijana.
Potem, odziany w barwę służebniczą,
Płacony groźbą, obelgą, pogardą,
Na służbie pańskiej strawił wiek dziecięcy,
Jak pies na każde posłuszny skinienie.

Lecz skoro boska czarodziejka — młodość
Dotknęła wieszczą różczką jego czoła,
Święty kwiat uczuć wzeszedł w jego łonie,
Przed olśnionemi stanęła oczyma
Godność człowieka, w światłości promieniach.
A komu światłość taka raz zabłysła,
Przebiła grubą ślepoty pomrokę,
Możeż się jeszcze milczący przyglądać
Szalonej dumie, pijanym biesiadom,
I patrząc na nie nędzę znieść cierpliwie?...

Młodzieniec nocą rzucił dwór bogaty.
Błyszczące, miękkie, służebnictwa szaty
Zmienił na biedną siermięgę swobody —
I poszedł, kędy zawiodą go stopy,
W świat niegościnny, szeroki, nieznany......

NIEWIERNA.

Rano w niedzielę
Poszła panna po ziele,
I znalazła złotą nić:
I zaczęła złoty wianek wic.
Przyjechał ci do niej pan —
Z piekła rodem sam szatan.

PIEŚŃ GMINNA.

O zaranku w niedzielę
Na wieśniaczym kościele
Poszczerbiony bije dzwon..
Strojno, tłumnie gwarne roje
W poświęcone podwoje
Garną się ze wszech stron.

A za dworem, na łące,
Błyszczą kwiatów tysiące;
W pośród nich, zorzolica,
Niby motyl skrzydlaty,
Buja płocho dziewica.
Buja — nuci wesoło —
Różnobarwe rwie kwiaty,
I w wonne splata koło
I gładkie zdobi czoło.

Spiesz dziewico! spiesz!.. z zapałem
Chwytaj rozkosz sercem całem!
Śpiewaj pieśni — chwytaj woń,
Woń ojczystą lilii, róż —

Bo karząca Boga dłoń
Blizko — blizko już!...

Pędzi z dala wściekła wrzawa,
Głucho szumi czarny bór;
Po ziemi gna kurzawa,
Po niebie stado chmur.
W nich, jak wąż, krwawym się splotem
Błyskawica wije;
Niebo gromów drży łoskotem,
Wicher dziko wyje.

Słyszy to lud w kościele,
I na ziemię ściele,
I w dziecięcej szepce wierze
Mnogie śluby, pacierze.

Widzi burzę dziewica —
Udatne zbladły lica;
Z białą piersią wzdętą trwogą,
Z skronią strojną w świeże kwiaty,
Z rozwianemi na wiatr szaty,
Lotną bieży nogą.
Przez zielony bieży smug,
Okiem goni w dworu próg.

Ale któż to — tam, po błoniu,
Przez wzgórza, zagony
Mknie na dzikim, karym koniu,
Z wiatrami w przegony?
Rumak sypie skry kopyty,
Pędzi skrzydłem błyskawicy — —
Co raz bliżej — — aż jak wryty
Stanął przy dziewicy.

Śmiechem parsknął młodzieniec,
I wyskoczył z strzemiona:
— «Witaj mi — o ulubiona!
Ślubny daj mi wieniec! —

Cóż to? zkąd to zimno w oku,
Gdy kochanek przy twym boku?
Spojrzyj! poznaj, ulubiona!
To ja — Jaś — twój kochanek...
Do białego przytul łona;
W wonny strój mnie wianek!»

Ona zaszłe krwią oczy
Dokoła dziko toczy!
Twarz jej trupim potem ściekła,
Po niej igrzą męki piekła.

— «Co?.. czego chcesz? szatanie!
Na bagnie, na otchłanie,
Precz ztąd, w ogień — żywioł twój!
Niech płomienia skrawy zwój
Owieńczy twoje skronie...
Niech cię piekło pochłonie!
Zgiń — przepadnij szatanie!...»

— «Ha — ha! słodkie powitanie!...
Takąż mi nagrodę
Za me serce dajesz młode,
Za wierne kochanie? —
Jam na każde twe skinienie
Drżał jak dziecię małe;
Za twe jedno uściśnienie
Dałbym życie całe...

O! przeklęta bądź godzino!
Gdy do biednej chaty
Zakołatał pan bogaty,
Ze swoją drużyną.
Garścią złota on zadzwonił,
Swiecącemi mignął wstęgi —
Twoją miłość i przysięgi,
Jakby wiatr rozgonił.

Ojcaś, matki się wyrzekła,
I rozpustne wieść uciechy

Od rodzinnej twojej strzechy, —
Odemnieś uciekła!...
A jam został zawsze stały;
I z sercem w żałobie
Z kąta w kąt kraj zbiegłem cały,
Pytając o tobie.
I w ostatnią życia chwilę
Tyś mi w myśli stała;
I o tobie myśl w mogile
Zasnąć mi nie dała.

Z zielonego grobu mego,
Nad drogą, pod borem,
Wstawałem z każdym wieczorem,
Z gwiazdami na niebie,
Mściwie czychać noc na niego —
Co mi wydarł ciebie.
Ileż nocy nieprzespanych!
Męczarń zemsty przeczekanych!

Aż dopiero w wieczór wczora
Pochwyciłem go, wydziercę!
I zębami mu upiora
Przeklęte wyżarłem serce.
Trupa djabłu oddałem,
Sam do ciebie bieżałem.
A ty dziś za serce młode
Za łzy i cierpienia,
Kryjesz w dłoniach ust jagodę,
Odwracasz spojrzenia!
Widzę! — mało tobie, mało,
Serca co cię ukochało!
W myśli tobie złote szaty,
Pańskie stoły i komnaty,
I służebnic rój......
Ha! ciesz się — ot i bogaty,
Pan po ciebie dąży twój!
Spiesz z nim, — przy jego boku
W wspaniałym zamku gość!...

Twego szczęścia widoku
Mej duszy będzie dość...»

I oto, z drugiej strony,
Drugi jeździec przyskoczy.
Jak węgiel rozpalony
Jego twarz, — jego oczy
Jakby dwa ogniska płoną;
I kruczemi ramiony,
Jakby smoczemi szpony,
Objął kibić toczoną.
I dosiadł z nią bieguna,
Na swą pierś wsparł jej skroń —
I z łoskotem pioruna
Kruczy poniósł ich koń...

Ziemia tętni — oni jadą —
Przed niemi wilków moc,
Nad niemi kruków stado,
W koło nich czarna noc...

Aż u piekła czarnych wrot
Koń wstrzymał wściekły lot.
Rozwarły się podwoje,
Zawyły dzikie roje —
Niby służalców dwór
Nowej pani ślubny chór.

Niesfornemi gromady
Dokoła młodej pary,
Do piekielnej pieczary
Biegą zwodzić biesiady.
I rozhukanem kołem,
Zasiadłszy po za stołem
Płonące z śpiżu ławy,
Zgraja rwie sprośną ręką,
Chciwą chłonie paszczęką
Obmierzłe z gadów strawy.
I w ludzkie czaszki leje,

Pije wrzące oleje —
Pani-młodej pieśń pieje...

Jedzą ciągle — wciąż głodni,
Piją wciąż — schnąc z pragnienia —
A z płonących pochodni,
Od czarnego sklepienia,
Ognista kapie smoła,
I płynie im po twarzy:
Straszliwe trawi czoła,
Trawi czaszki, mózg smarzy — —
A oni jedzą, piją,
Śmieją się, pieśni wyją....

Po skończonej biesiedzie,
Cały tłum z wrzaskiem wiedzie,
Wiedzie kochanków parę
Pod małżeńską kotarę.
I na łoże wnet weselne
Legło stadło nieśmiertelne...
Żmija z wężem się obwiła
Na około łona —
I płomienna ich zasłona
Na wieki zakryła.

I zamilkło potępienia wycie,
Pobladły piekła płomienie,
Przede głosem z wysokości:

»Potępienie wam! potępienie!
Dzieci dumy i próżności,
Dzieci zguby! co kupczycie
Niebieskim darem miłości.»

UCZTA.

(Urywek z zaginionej powieści «Wet za wet».)

We dworze starosty błyszczy świateł wiele,
Dym bury słupami bije przez kominy.
Niedawno starościc odprawił wesele,
Dziś w dworze ojcowskim sute przenosiny.

Pośród sali wysokiej stół ciągnie się długi,
Na nim ucztę dostatnią zastawiły sługi.
Niby wojsko przed bitwą, w groźnym szyku stały
Rozliczne roztruchany, kielichy, kryształy.
W pośrodku nich, piętrzone, jak warowne miasta,
Rumiane się, cukrzone, wydźwigały ciasta.
Na szerokich półmiskach, w szafranowym sosie,
Bez liku dzikich ptaków stado pławiło się...
Nad wszystko, dziwnym kunsztem, lśniący, okazały,
W podskoku, niby żywy, stanął rogacz cały.
Z kwiatów więzy złocony obwiły mu róg,
A na grzbiecie cukrzany siadł skrzydlaty bóg.
W ręku bożka szkarłatny powiewał proporzec;
Na proporcu z Habdankiem złączony Toporzec.

Polskiego zagrzmiały skrzypice, oboje —
Szerokie się oścież rozwarły podwoje,
I chrzęst niewyraźny zakrzywionych kordów
Do hucznej muzyki wmięszał się akordów.

Oparta na teścia pomarszczonem ręku,
Weszła Pani-młoda, w całym blasku wdzięku.
Z obliczem tak jasnem, jako śnieżne wzgórze,
Gdy w zorzy zachodniej kąpie się purpurze;
A z okiem tak lubem, jak w maju niebiosy,
Jak błękit bławatka, zwilżony łzą rosy.

Lecz w czystem tem oku, w kwitnącej tej twarzy,
Próżno byś ciekawem dośledzić chciał okiem
Odblasku płomienia, co w sercu się żarzy.
Tej cudnej tęsknoty, co na jaw wyświéca
Tajemnicę duszy, co kocha, co marzy —
Bez której i piękność tak mało zachwyca,
A która ubogie nawet w wdzięki lica
Niewypowiedzianym oblewa urokiem...

W ślad zatem tłum mnogi, gwarliwy, ochoczy,
Z sąsiedniej komnaty, powolnie, wspaniale,
Jak Wisły wiosennej zapienione fale,
Posuwistym krokiem do sali się toczy.
I wszyscy do koła u stołu zasiedli —
Śmieli się, gwarzyli, i pili, i jedli.

Starosta szczęśliwy — wąs kręci do ucha,
Goloną czuprynę szorstką dłonią gładzi,
Złocistego pasa poprawia u brzucha —
Dumnie się uśmiecha, i z rozkoszą słucha,
Jak zgraja pijana w życzeniach się sadzi,
Jak rój darmozjadów pochlebstwy mu kadzi.

Aż rązem z za stołu powstał sąsiad stary —
I siwy, i stary, lecz rzeźki i jary,
Co to, gdyb dziś jeszcze dobył z pochew miecz,
To nie jedna głowa wnet poszłaby precz —
Powstał, i ogromnej wznosząc puhar miary,
Pełny równo z wierzchem wonnego węgrzyna,
Pokłonił się głową, i prawić zaczyna:

«Jako na firmamentu jasnej wysokości
Gorą dwie złote tarcze niezmiernej jasności,

Tak na ojczystem naszem niebie, dwa klejnoty,
Błyszczą Habdank z Toporem, przez swe zacne cnoty,
Niby owe odwieczne niebios luminarze.
Cóż? gdyby księżyc z słońcem poszedł kiedy w parze?
Cóż? kiedy się dziś Habdank połączył z Toporem?
To cały świat już zaćmią niezmiernym splendorem!..
Niechaj że nam ta jasność nigdy nie zachodzi!
Wiwat Habdank z Toporem! wiwat państwo młodzi!»

I koło wnet całe na nogi powstało —
Sto błysło kielichów — sto głosów zagrzmiało!
«Wiwat państwo młodzi!»

— »Przeklęci!» dwa głosy za oknem zagrzmiały —
I oknem do sali dwa wpadły wystrzały.
A jeden strzał utkwił w starościca czoło,
Krwią jego i mózgiem pokropił w około;
A drugi strzał utkwił pani młodej w łonie —
Rozranił jej piersi, toczone, dziewicze —
Pobladło rumiane jak zorza oblicze —
Gładkie jak śnieg, w perły zaplecione skronie
Zwisnęły na poręcz. Młodość i uroda
Przepadły! przepadły!... I nie wielka szkoda!
Bo kto jak trup chłodny, choć życie nim władnie,
To czegóż żałować kiedy trupem padnie?...

Za hukiem wystrzałów, za przestrachu krzykiem
Nastała grobowa chwila osłupienia.
Godowa drużyna — posągi z kamienia —
O życiu spojrzeniem tylko mówią dzikiem.
A w koło tak cicho! tylko na podłogę,
Słychać, jak krew pluszcze, co z trupów ucieka,
I z stołów jak ścieka rozlanych win rzeka,
I serca po piersiach jak biją na trwogę.

W tem: «gore! gore!» przeraźliwym krzykiem
Stróp zadrżał dębowy. Przez okno strzaskane
Żarłoczne płomienie, z czerwonym językiem,
Na adamaszkową rzuciły się ścianę.

Raz, drugi, po suchym modrzewiu liznęły —
I wnet całe ściany ogniem zapłonęły.

Klnąc głosem straszliwym, wygrażając gniewnie
Nagiemi szablami — niewiadomo komu —
Wpół-pijana szlachta wybieżała z domu.
Za nimi, łkający i zawodząc rzewnie,
I łzami hojnemi zalewając lice,
Poważne matrony i hoże dziewice.

A w domu, co jeszcze przed chwilą tak gwarny,
Dwa tylko za stołem ciche trupy siedzą;
I do pary sobie dobrawszy dym czarny,
Jak gdyby u siebie, płomienie ochocze,
Na wiatr rozpuszczając swe złote warkocze,
Po pustych komnatach szalony tan wiją —
I chciwie z półmisków smaczne strawy jedzą,
I smaczne napoje chciwie z naczyń piją.

W podwórcu zgiełk, nieład, i rozpacz, i trwoga.
Spieniona się szlachta rozbiegła bez ładu, —
Szukają, klną, krzyczą, wywołując wroga,
A wroga do koła ni słychu, ni śladu.
Więc dalej się wszyscy wielkim krzyżem żegnać,
By urok szatański od oczu odegnać.

Sam starosta stoi — patrzy, jak dwór płonie —
I bura źrenica we łzach mętnych tonie.
Nie z żalu za dworem — dość drzew w boru rośnie! —
Lecz z żalu po synie, co tak marnie ginie,
Ostatni z rodziny, w życia swego wiośnie;
Beze czci pogrzebnej, grobu w ziemi świętéj,
W płomieniach spalony, jak gdyby wyklęty!...
I srodze staremu serce zabolało.
— «Hej! kto mi przyniesie syna mego ciało!
Bóg świadkiem na niebie! nie strudzi się marnie,
Co żywnie sam zachce, w nagrodę zagarnie.»

Daremne wołanie! nikt kroku nie ruszy —
Za złoto na zgubę nikt nie rad dać duszy.
— «Ha! toż ja sam muszę!..» i sam ojciec stary
W płomienne poleciał jak szalony żary.
Poleciał — już więcej ztamtąd nie wyleci!
Ptactwu na biesiadę trup piecze się trzeci.
Tłum klęknął opodal — wzniósł w górę wejrzenia —
I słychać szeptania, i słychać westchnienia:
«Wieczna światłość niech im świeci!...»

A kiedy poranek błysnął licem bladem,
Zgliszcze tylko czarne dymiło nad drogą;
Wołając do jednych wymownym przykładem,
Do drugich wymowną groźbą i przestrogą.
A z czarnego lasu, długiem, smutnem stadem,
Pośpiesznie zleciały w gości kruki, wrony;
I kraczą, i skaczą, i żrą ścierw pieczony...
Szczęść Boże im co dnia takowym obiadem!

SKARBEK.

Wspomnienie z roku 1107.

W nieogarnionym okiem obozie Henryka,
Z lesistej Polski orszak zbrojnych posłów stawa,
Niosąc mu od dzielnego pokój Bolesława.
Ale Niemca zaboru żenie żądza dzika,
I dziksza duma: ludom narzucać swe prawa —
W swobodnych Polan wodzu zapragnął lennika.

Więc, to ich groźby strwożyć chce strasznemi,
To chytrze słowy usidlić lisiemi,
By cześć lenniczą posły mu oddały.
Ale próżno! o męży zbroicę stalową
Słowo pogróżki i chytrości słowo
Odbite pada, jak ziarno od skały.

W lennych pochlebców schodowany tłumie,
Nad wolnych ludzi wyniosłą stałością,
Niemiec od dziwu posięść się nie umie;
Zsiniałe usta z niemą kąsa złością —
Chciałby, choć z piekła, wszystkie siły ruszyć,
By posłów nagiąć do nóg swych — lub skruszyć.

Jako zaś każdy innych sobą mierzy,
Myśl ich oślepić blaskiem złota wierzy.
Więc w głąb namiotu wiedzie z sobą męże,
I odsłaniając pełną złota skrzynię,

Szydzi do nich słowami: «Patrzcie! to oręże,
Któremi do stóp moich łby wasze podczynię!»

Z boku zaś, wzrok w rycerskie zatopiwszy lice,
Bada ciekawy, polski co odrzecze gość.
Aż Skarbek łuskowaną ściąga rękawicę
I z palca pierścień drogi do skarbnicy miota:
«Niechajże i to złoto łączy się do złota —
Dla wolnych żelaza dość...»

I Bóg spełnił rzecz męzką. Wkrótce po nad Odrą,
Legła, jak zżęte zboże, czerń niezmierna wroga —
Głodne psy z ciał rycerzy karm znalazły szczodrą.
I długo — długo potem bielejąca kość
Z Psiego-pola świadczyła: komu wolność droga,
Temu żelaza że na oręż dość.

DZIWY.

(IMPROWIZACYA.)

Stała nam się nowina:
Pani pana zabiła.
PIEŚŃ GMINNA.

Hej! tam za borem,
Za białem jeziorem,
Siedzi sokół siwy,
Opowiada dziwy...

Hej! tam za borem,
Za białem jeziorem,
W wysokim kościele
Było luda wiele.
Ksiądz święconą kropił wodą,
Błogosławił parę młodą;
A pan młody, cały w złocie,
Panna młoda, w łzach i w pocie,
Drużby, druchny, w kwiatach, w bieli,
U ółtarza klęczeli....

* * *

Hej! tam za borem,
Nad białem jeziorem,
W złoconym dworze,
W ślubnej komorze,
Pan młody na łożu leży:
Z serca szczera krew mu bieży,

Rękoma po łożu chwyta,
Pierśmi robi, zęby zgrzyta,
Usta zbladły mu jak ściana,
Z ust się sina toczy piana.

Przy nim krwią zbroczona,
Stoi młoda żona;
W ręku ostry nóż ściska,
Oczyma straszno błyska —
I radośnie się śmieje —
Śpiewa — pląsa — szaleje...

* * *

Hej! tam przy dworze,
Na białem jeziorze,
Kipi, wre, zmącona woda;
A po wodzie pani młoda,
W bieli, w rucie, w rozmarynie
Z rozplecioną kosą, płynie.

A nad borem, po nad dworem,
Po nad jeziorem,
Kruki, kawki, z wrzaskiem, szumem,
Ulatują czarnym tłumem......

CHRYSTUS I PIOTR.

Legenda łużycko-serbska.

Kiedy Pan Jezus żył jeszcze na ziemi,
Chadzał po świecie z apostoły swemi,
Z miasta do miasta i z wioski do wioski;
Szukając prostych serc, a kochających,
W serca zranione lejąc balsam boski,
Łzy ocierając z obliczy cierpiących.

Raz, z Piotrem wspoły, w Budyszyna strony
Do serbskich Łużyc zaszedł także cudnych;
Zobaczyć, jadem szalbierzy obłudnych
Trwa li poczciwy lud ten nieskażony.
I zdarzyło się, jednego wieczora,
Zaszli do małej wioszczyny Zahora.

Cicho i pusto było na ulicy.
Do chat od pracy wrócili rolnicy,
I długie ławy zasiadłszy przy stołach,
Odpoczywali po dziennych mozołach.

Przez jednej chaty okno uchylone
Migało światło kaganka czerwone,
I'nieuczonym zborem brzmiały dźwięki
Z żywem natchnieniem nuconej piosenki.

Chrystus się wstrzymał — podchodzi — i ucha
K' oknu skłoniwszy, prostej pieśni słucha.

Ale Piotr, chatę pominąwszy z wzgardą,
Pełen powagi dalej kroczył hardo.
Aż kęs uszedłszy, gdy przy swoim boku
Nie baczy mistrza, zatrzyma się w kroku;
I obejrzawszyś, widzi ze zgorszeniem,
Jako światowem ten zajęty pieniem.
Więc doń powraca, rady czy nie rady,
Boć w mistrza słuszna iść uczniowi ślady.
I długo obaj przy chacie tak stali,
Pieśni słuchając — wreszcie poszli daléj.

Idą — i idą... A w tem, po nad drogą,
Stoi gmach pyszny. Okien szyby rżnięte
Jarzących świateł jaśnieją pożogą;
Dobrane głosy pieją psalmy święte.
Na to przystanie Piotr, słuchać ochoczy —
Lecz Chrystus dalej, niezważając, kroczy.
Pełen zdziwienia, rady czy nie rady,
Piotr zatem musiał zdążać w mistrza ślady.

Idą. — Po drodze Piotr w głowę się skrobie,
Myśląc, jako by rzecz wyłożyć sobie.
Wreszcie, niezdolen pojąć Zbawiciela
Kroków, z pokorą pytać się ośmiela.

Chrystus, gdy mowę wysłucha piotrową,
Rzecze z uśmiechem: «O, głowo ty, głowo!
Tam w onej chacie, z szczerego natchnienia
Lud nucił swoje narodowe pienia.
Tu obłudnicy, psalmy pieją usty,
Lecz bez natchnienia głos brzmi z piersi pustéj.»

PIERWSZA NOC CZAROWNIC.*)

(DIE ERSTE WALPURGISNACHT)

z Goethe'go.

PIERWSZY KAPŁAN.

Błysł maj radosny!
Pod tchnieniem wiosny
Szron stajał z gałęzi drzew.
Prysnęły lody —
W zieleni młodéj
Weselny rozbrzmiewa śpiew.

Już tylko biała
Szata została
Na wyżniach najstromszych opoki.
Dalejże! spieszmy do góry!

---

*) Piękny ten, pełny wysokiej myśli, a mniej upowszechniony utwór Goethego, odnosi się do tak zwanych nocy czarownic (*Walpurgisnacht*), o których pamięć, częścią przez podanie, częścią przez obrządek, zachowuje się dotąd w wielu okolicach Niemiec, osobliwie zaś w tych stronach, gdzie niegdyś żyły słowiańskie plemiona, z czasem uciemiężone i starte. Długi czas jeszcze po narzuceniu tym pogańskim ludom chrześciaństwa, kapłani dawnej wiary starali się zachować jej zwyczaje i święta. Jednem z świąt takich był dzień pierwszy maja. Ażeby obchodowi jego przeszkodzić, otaczano gaje święte i uroczyska chrześciańskiemi strażami. Zgromadzeni poganie dla odpłoszenia ich, przebierali się w dziwotworne postacie i wpadali na nie z wrzaskiem, ogniem i łoskotem. Chrześcianie, nawykli widzieć we wszystkich pogańskich obchodach sprawę szatańską, uciekali, biorąc to za zjawisko piekielnych duchów, poczem lud swobodnie odbywał swoje obrzędy.

Wypełnić ojców obrząd wysoki,
Bogu w przyrodzie dać cześć;
Z płomieniem jasnym, bijącym w chmury,
Ducha ku Wszechstwórcy wznieść.

ZBÓR KAPŁANÓW.

Płomień z dymów strzela w chmury —
Dalej że! spieszmy do góry!
Obyczajem ojców nieść
Wśród przyrody Bogu cześć.

JEDNA Z KOBIET.

Jak to? Śmiecież się odważać?
Na śmierć pewną się narażać?
Czyliż nie znacie praw twardych
Gnębicieli naszych hardych.

W koło rozpięte ich sieci,
Nad nami ostre ich miecze;
Mordowanych ojców, dzieci
Naszych krew z dniem każdym ciecze —
I nas wszystkich, niedaleka,
Nieodzowna zguba czeka.

ZBÓR KOBIET.

W koło rozpięte ich sieci,
Z każdym dniem płynie krwi rzeka
Naszych ojców, naszych dzieci...
I nas wszystkich — niedaleka —
Nieodzowna zguba czeka.

PIERWSZY KAPŁAN.

Kto w wierze swojéj
Wytrwać się boi,
Godnym się staje złej doli. —

Oto las wolny!
Wznoście stos smolny!
Oto drzewa do woli.

Jednak po dniu
Ukryci tu
W gęstwinie krzewów zostaniem,
I zbrojne w koło rozstawim straże,
By tem bezpieczniej z nocy nastaniem
Dopełnić, co wiara każe.

ZBÓR LUDU.

Idźcie, mężowie! Rozdzielcie się wszędy,
Zewsząd las cały osaczcie.
Skryci, w milczeniu, bezpieczeństwa baczcie,
Aż święte spełnim obrzędy.

PRZYWÓDZCA CZAT POGAŃSKICH.

Z tych sług mniszych ciemną zgrają,
Igraszkę dziś sobie sprawmy!
Djabłem, o którym nam bają,
Ich samych strachu nabawmy.
Wśród skał, jarów, dalej razem!
W koło, z ogniem i żelazem,
Wlokąc widły i motyki
W noc podnieśmy hałas dziki.

ZBÓR CZAT POGAŃSKICH.

Dalej w koło! dalej razem!
Żywo z ogniem i żelazem!
Wlokąc widły i motyki
Przez skaliste gór parowy,
W noc złowieszcze wznieśmy krzyki...
Puhacze, sowy,
Z nami w chór dziki!

PIERWSZY KAPŁAN.

Do tej że nam niemocy
Przyszło, że tylko w nocy
Możemy Bogu dać cześć!...
Lecz noc jest dniem,
Póki mu śmiem
Czystem ją sercem nieść.

Twa wola, Boże!
Dozwolić może
Wrogom czas który
Nad nami góry.

Lecz z czarnych dymów płomień się wzbija —
Tak jaśnieje światłość wiary!
I choć nam wydrą obyczaj stary,
Światłość twą wydrzeć, moc czyja?

JEDEN Z STRAŻY CHRZEŚCIAŃSKICH.

Gwałtu! bracia!... Przez Bóg żywy!
Piekieł ćma tu wali cała!..
Patrzcie! patrzcie! co za dziwy!
Poczwarne, ogniste ciała,
Baby-jędze, wilkołaki
Zgrają roją się straszliwą...
Co za hałas! Trzask, pisk jaki!..
O, uchodźmy ztąd co żywo!
W górze huczy bies ognisty,
Z dołu bucha dym siarczysty.

ZBÓR STRAŻY CHRZEŚCIAŃSKICH.

O, uchodźmy ztąd co żywo!
Co za hałas! trzask, pisk jaki!..
Baby-jędze, wilkołaki
Zgrają roją się straszliwą.

W górze huczy bies ognisty,
Z głębi bucha dym siarczysty...

ZBÓR KAPŁANÓW.

Z chmur czarnych dymów płomień się wzbija —
Tak jaśnieje światło wiary!
I choć nam wydrą obyczaj stary,
Światłość twą wydrzeć — moc czyja?

PÓŁNOCNY KRÓL.

(DER KÖNIG IN THULE)

z Goethe'go.

Był król na północnym tronie,
Wierny do ostatka tchu.
Kochanka niegdyś przy zgonie
Złotą czarę dała mu.

Król w świętej chował ją cenie;
A ilekroć spełniał ją,
Piersi wznosiło westchnienie,
Wzrok rzewną ćmił mu się łzą.

Kiedy nakoniec, zgrzybiały,
Król blizki poczuł swój zgon,
W sali, na urwisku skały,
Po nad morzem zasiadł tron.

I wszystkie dziedzice swoje
Zwoławszy, dóbr czynił dział.
Miasta, zamki, skarby, zbroje,
Wszystko im — prócz czary — zdał.

Po raz ostatni w krzepnącą
Dar kochanki ujął dłoń.

Spełnił — i czarę w huczącą
U stóp swoich cisnął toń.

Widział, jak się nad nią płowa
Zawarła głębina mórz —
Na piersi zwisła mu głowa —
I więcej nie wzniósł jej już.

DWA USTĘPY

Z SAGI O FRITHJOFIE

Izająsza Tégnera.

I.

DZIEDZICTWO FRITHJOFA PO OJCU.

Wreszcie, jak pragnęli sami,
w grobach złożeni, spoczęli
Bele król i Torsten stary.
Po obu brzegach zatoki
Wznoszą się krągłe mogiły
rozdzielonych śmiercią druhów.
Helge i Halfdan*) objęli,
za zgodą ludu, dziedzictwo
Społem nad państwem ojcowskiem;
Frithjof zaś, jako jedynak,
Nie dzieląc z nikim, sam objął
dwór rodzicielski we Framnös.

Na trzy mil długą dziedzinę
ze trojga stron graniczyły
Doliny i góry strome,
z czwartej oblewało morze.

---

*) Dwaj synowie króla Bele.

Brzozy wieńczyły gór szczyty,
a na pochyłościach wzgórzy
Złoty kołysał się jęczmień
i bujnie wyrosłe żyta.
We zwierciadłach jezior licznych
gór odbijały się kształty
I ciemna zieloność lasów,
w których łoś wysokorogi,
Z setnych się rzeźwiąc potoków,
błądzi wspaniałemi kroki.
Zaś w pośród dolin, na łąkach,
krów mnogie pasły się stada,
Ze lśniącą sierścią, z pełnemi,
doju zwącemi, wymiony.
Między niemi, niezliczone
owiec przeciągały trzody,
Okryte runem śnieżystem —
podobne obłokom białym,
Z wiosny nastaniem po jasnym
niebios błękicie błądzącym.
Dwakroć dwanaście rumaków —
istnych wichrów okiełznanych —
Bijąc ziemią stało w stajni
rzędami około żłobów,
Z grzywą czerwono plecioną,
błyszczącą stalą podkute.

Gmach w sobie samym udzielny
tworzyła sala ogromna,
Ze sosen twardych zrębiona.
Sześciuset w niej godowników
Biesiadowało swobodnie
w uroczyste święto Julu.*)

*) Święto Jul, jedno z najgłówniejszych u dawnych Skandynawów, bogowi płodności Frej poświęcone, obchodzone bywało z wielką świetnością przez tygodni kilka, rozpoczynając nowy rok skandynawski, w końcu stycznia i początku lutego.

Przez całą dłuż jej się ciągnął
stół ze drzewa dębowego,
Gładki i jako stal lśniący.
U górnego stołu końca
Stały dwa słupy — na słupach
dwa z drzewa rzeźbione bóstwa:
Odin królewski i Freja, [3])
z słońcem błyszczącem na głowie.

Niegdyś tu, między obiema,
na czarnej skórze niedźwiedziej
(Paszcza jej była z szkarłatu,
pazury ze srebra kute),
W pośród przyjaciół i gości
Torsten zasiadł gościnny.
Nieraz, przy bladym księżyca
blasku, opowiadał starzec
Dziwy: o obcych narodach,
o swoich wyprawach zbrojnych,
Daleko, na wschodnie morza
i ku zachodowi słońca.
Wszyscy natenczas, milczący,
cisnęli się w koło niego,
Jak pszczoły do pełnej róży;
a Skaldowi [4]) się zdawało,
Że to sam Brage [5]), ze srebrną
brodą, z run pełnym językiem,
Pod zieleniącym jesionem,
przy wiecznem źródle Mimera,
Siedząc, opowiada sagi —
sam saga wiecznie żyjąca.

---

[3]) Odin, najwyższy bóg mytologii północnej; Freja bogini miłości.
[4]) Skald, nazwa starodawnych wieszczów skandynawskich.
[5]) Brage, bóg poezyi. Język jego cały okryty był runami. Jesion, o którym w następnym wierszu mowa, jest to wieczne drzewo Yggdrasil, w raju skandynawskim rosnące. Z pod korzenia jego płynęło źródło mądrości, którego strzegł Mimer.

Wśród słomą słanej podłogi,
na murowanem ognisku,
Bezustanny gorzał ogień.
W górze, przez dymnik otwarty,
Złociste gwiazdy patrzały
z nieba do sali biesiadnej.
U ścian, na gwoździach żelaznych,
w koło porządkiem wisiały
Hełmy, pancerze, a wśród nich
mieczów brzeszczoty, błyszczące
Jak smugi gwiazd spadających
nocą po zimowem niebie.
Więcej jeszcze, niźli mieczy
i hełmów, tarcz było w sali,
Srebrnych i lśniących, jak jasne
kręgi miesiąca, lub słońca.
Kiedy bywało dziewczyna,
do stołu, nalewać rogi,
Przechodząc, spuszczała oczy,
tarcze twarz jej odbijały,
Oblaną wstydu szkarłatem,
K' uweseleniu rycerzy.

Dostatek w domu znać było,
kędyś tylko rzucił okiem.
Piwnice, komory, śpichrze
bogatych zapasów pełne.
Nie brakło i na klejnotach,
zdobytych w walkach zwycięzkich,
Złocie, runami ozdobnem,
i kunsztownie kutem srebrze.
Z między wszystkich wszakże bogactw
troje szanowano rzeczy.

Z tych trojga najszacowniejszym
był miecz, rodzinne dziedzictwo.

Augurwadel miał nazwisko —
brat czerwonej błyskawicy.
Kędyś, na dalekim wschodzie,
w mieszkaniu karłów podziemnem,
Ukuty, jak mówi saga.
Björn Blauzahn[6]) pierwszy go posiadł.
Björn stracił go, razem z życiem,
ległszy w zatoce Gröningi
Z rąk przemożnego Wifella.
Wifell miał syna Wikinga.
Za tego dni, w Ullerloker
mieszkał książe jeden stary,
Kaleki, jedyną córkę
kwitnącą mając przy sobie.
Stało się, że z głębi lasów
zjawił się olbrzym potworny,
Nieludzki kształtem, kosmaty
na całem cielsku straszliwem.
Córki i państwa żądając
starca na rękę wyzywał.
Nikt nie śmiał wyjść przeciw niemu,
nie wierząc, by się znalazła,
Stal dosyć twarda, rozwalić
żelazną czaszkę potwora.
Aż Wiking, piętnastoletni
młodzian podówczas, wystąpił,
W sobie i w mieczu swym ufny —
i jednem cięciem rozciąwszy
Łeb ryczącemu straszydłu,
zbawił starca i dziewicę.
Po Wikingu przeszedł spadkiem
miecz w ręce syna, Torstena.
Frithjof wziął go teraz po nim.
Kiedy go było wyciągnąć
Z pochw, cała sala pałała,
jak by od błyskawic łuny.

---

[6]) Słynny król i bohater w starożytności skandynawskiej.

Złota rękojeść, brzeszczot zaś
cały okryty był w runy,
Dziwne, nieznane północy,
znane tylko gdzieś na wschodzie —
W dziedzinie ojców, przed wielką
Assów [7]) na północ wędrówką.
W chwilach błogiego pokoju
przyćmionym lśniły się blaskiem,
Lecz gdy Hildur [8]) dała hasło,
wtedy wyskrzone gorzały
Czerwono, jak grzebień kura
w boju — i niechybnie zginął,
Kto się w bitwy zawierusze
Spotkał z tą głownią czerwoną.
Miecz to był sławy niezmiernej,
pierwszy na całej Północy. [9])

Po mieczu, w cenie najwyżej
stał naramiennik potężny,
Niegdyś Wulkana północy,
chromego Waulundra [10]) dzieło.
Troje grzywien wagi trzymał,
z najczystszego kuty złota;
Okryty w rzeźby rozliczne —
obrazy zmysłowe walki
Światła z ciemnością, w przyrodzie
i w duchu ludzkim zwodzonej.
Przepyszny guz rubinowy
zdobił wypukłość obręcza,
Jako słońce obłąk nieba.
Od Waulundura począwszy,

---

[7]) Assy mytyczni bogowie i przodkowie Skandynawów, podług podań ze wschodu na północ przybyli.

[8]) Hildur bogini wojny.

[9]) Północ — nazwą tą oznaczali i oznaczają dotąd Skandynawi zbiorową swoją ojczyznę, Danią, Szwecyą, Norwegią i t. d.

[10]) Waulundur, lub Wölundr, mytyczny bohater, kowal i złotnik skandynawskich podań. Broni i klejnotom jego kowu przypisywano cudowne własności.

Przodka z macierzystej strony,
własnością był on rodziny.
Raz, skradziony, stał się łupem
korsarza, który po morzach
Północnych długo błądziwszy
nareszcie zginął bez śladu.
Aż z czasem wieść się rozeszła,
że na wybrzeżach Bretlandu [11])
Z łodzią i skarby się zawarł
żywo w sklepionym kurhanie,
Lecz nie znalazłszy pokoju
pokutuje ciągle w grobie.
Torsten, skoro to posłyszał,
wraz z Belą, dosiedli smoka [12])
I szybko przebywszy morze
na brzeg wskazany wysiedli.
Ogromny, jak kościół jaki,
lub gród królewski przysuty
Zwirem i trawą zieloną,
kurhan podnosił się krągły.
Z pośrodka błyszczało światło.
Przeze szpary wrót potężnych
Rycerze zajrzeli w środek:
czarny, jak smoła, stał w głębi
Smok, z wiosły i maszty swemi.
U szczytu masztu, na żaglu,
Siedziała postać straszliwa,
w płaszcz płomienisty okryta.
Ponuremi świecąc oczmi
Krwawe czyściła żelazo —

---

[11]) Bretland — Brytania. — Dla zrozumienia następujących wierszy trzeba wiedzieć, że obyczajem skandynawskim grzebano zmarłych w sklepionych mogiłach, ze wszystkiem co mieli drogiego na ziemi. Niekiedy bohaterowie, czując się blizkimi zgonu, lub sądząc, że dość się nażyli i zdziałali na ziemi, żywo wstępowali w takowe grobowce.

[12]) Smokami nazywali Skandynawi okręta swoje, od kształtu, jaki im nadawać byli zwykli, a którego bliższe wyobrażenie poda nieco dalej opis Ellidy.

Lecz plamy nie chciały znikać.
Złupione skarby leżały
W stosach — sam zaś naramiennik
straszydło miało na sobie.

— «Wejdziem li?» poszepnął Bele,
«samodwój tylko, przeciwko
Straszliwej walczyć potworze?»
Na to mu Torsten w pół-gniewnie:
«Jeden przeciwko jednemu!..
tak każe zwyczaj. Ja pójdę.» —
Chwilę trwał pomiędzy nimi
spór o zaszczyt niebezpieczny
Pierwszeństwa; aż wreszcie Bele,
hełm stalisty zdjąwszy z głowy,
Rzucił do niego dwa losy —
a we wyciągnionym Torsten,
Przy brzasku nocnym, swój poznał.
Jednem uderzeniem włóczni
Wysadził ze zapór wrota
i wstąpił w podziemie ciemne.

Później, badany co doznał
w noc tę, milczał zdjęty zgrozą.
Bele zasłyszał śpiew naprzód,
jak wrzask złych duchów huczący —
Potem chrzęst stali, jak gdyby
dwojga skrzyżowanych szabli —
Wreszcie krzyk straszny — i scichło!...

Z jaskini wyskoczył Torsten,
Wybladły i bezprzytomny —
snać że po walce śmiertelnej.
Naramiennik wyniósł przecie.

— «Drogom go opłacił» mawiał.
«Raz jedyny w życiu drżałem —
a to kiedym go odbierał.»
Klejnot to był wielkiej ceny —
słynny na całej Północy.

Trzecim drogim sprzętem w rodzie
byÅ‚ okręt, Ellida zwany. —
Jak mówią, Wiking, wracając
kiedyś z wojennej wyprawy,
Zobaczył około brzegów
na błądzącej szczętach łodzi,
Jakby na igraszkę falom
porzuconego człowieka,
I podpłynął z swym okrętem
ocalić nieszczęśliwego.
Mąż był wspaniałej postaci
i oblicza otwartego,
Lecz zmiennego, na kształt morza
powierzchni słońcem olśnionej.
Płaszcz miał błękitny, pas złoty,
koralami nasadzany;
Brodę, jak piana fal, białą,
i zielono-płowe włosy.
Wiking wziął zziębłego do dom,
gościnnem rzeźwił staraniem —
Lecz gdy go wieźdź chciał do łoża,
gość, śmiejąc się, odpowiedział:
«Wiatr dmie pomyślny — a czółn mój
nie myśl, że tak godzien wzgardy!
Sto mil, zaczem zajdzie słońce,
dziś jeszcze na nim upłynę.
Serdeczny dzięk za gościnne
przyjęcie!... Rad bym ci wzajem
Wdzięcznym odpłacać się darem —
lecz skarbiec mój na dnie głębi.
Jutro przecież, ujrzysz może
mój upominek u brzegu.»
Z jutrem rano, kiedy Wiking
wyszedł na brzeg, do zatoki
Wpłynął okręt pędem orła
ścigającego za łupem.
Nikogo, nawet sternika,
nie było widać na statku.

Jednak cudnie wił się wężem
pomiędzy progi i skały,
Jak by w nim mieszkał duch żywy.
Kiedy się zbliżył do brzegu,
Żagle spadły same przez się,
i bez pomocy człowieczej
Kotwica, runąwszy w wodę,
zaryła się w dno piaszczyste.

Wiking patrzał, niemy dziwem —
w tem śpiewne fale zabrzmiały:
«Ægir,[13]) któregoś ugościł,
tym ci odpłaca się darem.»

Dar był prawdziwie królewski.
Wygięte bale dębowe
Nie, jako zazwyczaj, zbite,
lecz zrosłe były ze sobą.
Na podobieństwo smokowi
morskiemu, czółn był podłużny.
U przodu sterczała głowa,
z rozwartą paszczą szkarłatną.
Kadłub był błękitny, w cętki
złociste. W tyle, u steru,
Długi, kręty ciągł się ogon,
łuską srebrzystą błyszczący.
Skrzydła miał czarne, z brzegami
czerwonemi. Gdy je było
Napiąć, wiatrem szumnym wzdęte,
wyprzedzały orła w locie.
Napełniony mężem zbrojnym
okręt zdał się niby twierdzą,
Lub pływającą wielkiego
króla jakiego stolicą. —
Łódź to była wielkiej sławy —
bez równia w całej Północy.

---

[13]) Ægir, bóg morza.

To wszystko, i wiele innych
rzeczy wziął Frithjof po ojcu.
Trudno by naszedł się dziedzic
bogatszy nadeń w Północy;
Chybaby z synów królewskich —
bo królów możność najwyższa.
On, jak bądź nie syn królewski,
iście królewski miał umysł:
Dobry, szlachetny, otwarty,
co dzień rósł w wziętość u ludzi.
Torsten zostawił mu także
towarzyszy swych dwunastu,
Osiwiałych bohaterów,
w stal zakutych, z czołem całem
W szczerbach. W pośród nich u stołu
ostatni zasiadał młodzian —
Róża pomiędzy liściami
więdnącemi — Björn imieniem.
Wesół, jak dziecko, lecz jak mąż
dzielny, roztropny jak starzec.
Razem wyrósł był z Frithjofem —
i obyczajem północnym,
Krew swą mięszając, nawzajem
przysięgli sobie braterstwo
W boju, w niedoli, i szczęściu,
i zemstę wspólną do grobu.

I oto, na smutnej stypie
w pośród przyjaciół i gości,
Frithhof, żałobny gospodarz,
z oczyma łzami zaszłemi,
Wstąpił i osierocone
po ojcu zajął siedzenie
Między Odinem i Freją
(Thora[14]) to miejsce w Walhalli).

---

[14]) Thor, syn Odina, bóg wojny.

I, obyczajem północnym
pijąc na pamięć rodzica,
Słuchał Skaldów, grzmiącą Drapę[15])
ku czci zmarłego wznoszących.

---

[15]) Drapa, podobnie jak litewska rauda, pieśń czci zmarłych poświęcona.

II.

PRZYBYCIE FRITHJOFA DO ANGANTYRA.

Teraz, słuchajcie daléj!
W dobranych męży kole,
W wysokiej siedział sali
Angantyr Jarl [16]) przy stole.
Pijąc pełen ochoty,
Patrzał na wód zwierciadło,
Kędy jak łabędź złoty,
Zachodząc słońce spadło.

Przy oknie, przy wysokiem,
Straż trzymał Halwar stary.
Po morzu wodząc okiem
Wychylał miodu czary.
Raz po raz duszkiem spełniał
Olbrzymią czasz rogową,
I milcząc ją napełniał,
I wychylał na nowo.

Na raz, ciska róg próżny
W środek sali, i prawi:
«Okręt jakiś podróżny
Koło brzegów się jawi.

---

[16]) Jarl, udzielny książe lub hrabia, z rodu dawnych królów północnych.

Otóż lądu dościga...
Olbrzymich dwu mocarzy
Na barkach na ląd dźwiga
Opadłych z sił wioślarzy.»

W wskázaną stronę nagle
Pojrzawszy, Jarl ś-odzywa:
«Ellidy są to żagle!
Frithjof to k' nam przybywa.
Po kroku i po wzroście
Do poznania on snaden.
Obojgiem mu nie sproście
W Północy całej żaden.»

Na to, rześko od stoła
Skoczy Wiking sędziwy;
Groźnie strząsa włos z czoła,
Wzrok płonie mu straszliwy.
— «Dziś doświadczęż, na bogi!
W rzeczy-li Frithjof młody
Nie zna co prosić zgody,
Żaden mu wróg nie srogi.«

Z nim po za stołu razem
Dwunastu mężnych skoczą.
Wiatry sieką żelazem,
Maczugi groźnie toczą.
Biegą, gdzie w brzegu ciszy
Łódź się znękana chyli,
A Frithjof w towarzyszy
Otuchę tchnąć się sili.

— «Mógł bym cię wziąźć w niewolą» —
Pocznie stary przewodzić —
«Lecz daję ci na wolą:
Walczyć, lub też uchodzić.

Lub, przyniesiesz li może
Prosić zgody i mira? - . .
To pójdziem społem w dworze
Ucztować Angantyra.»

— «Strudzonym drogą srodze» —
Odrzecze Frithjof w gniewie —
«Wszak, czy podle uchodzę,
Odpowieć miecza glewie.«
I miecze w obu dłoni
Błysną, jak dwa pioruny...
Na Frithjofa się broni
Krwawo wyskrzyły runy.

Bój wszczyna się zacięty,
Groźnie na siebie sieką;
Rozrąbanych tarcz szczęty
Gradem lecą daleko.
Rycerze stoją cali,
Jak dwie nieżżyte skały...
W tem, na Frithjofa stali
Prysł miecz Wikinga biały.

— «Nigdym piersi bezbronnej
Nietknął żelazem mojem.
Więc, gdyś tak walki skłonny,
Innym zmierzmy się bojem.»
I jak wezbraną falą
Powódź, ku sobie skoczą...
Pięśćmi w pancerze walą,
Piersi o piersi tłoczą.

Jak dwa niedźwiedzie w śniegu,
Tak się nawzajem włóczą,
Prą i wiją po brzegu,
I łamą się, i tłuczą.

Nieraz już pod słabszemi
Ciosy drżały skał zręby,
I wydarte ze ziemi
Stare padały dęby.

Pot zimny ciecze z czoła,
Tchem ciężkim gardła chrapią.
Zwir i ciernie dokoła
Walczących twarze drapią.
Gromada wojowników
Kręgiem stoi z daleka,
I sławiąc zapaśników
Za końcem walki czeka.

Nareszcie Frithjof zmiecie
Wroga pod swoje nogi;
Kolanem pierś mu gniecie,
I krzyczy gniewem srogi:
»Teraz mi tu szeroką
U boku mieć mą szablę!
By ją twoją posoką
Napoić, stary djable!»

— «O to zgryzoty nie miéj!»
Odpowie stary dumnie.
«Idź, podnieś miecz ze ziemi,
I powracaj z nim ku mnie.
Otworem w każdej porze
Walhalli stoi brama...
Mnie dzisiaj — jutro może
Tobie droga taż sama.»

Frithjof podniósłszy lśniący
Brzeszczot, do cięcia bieży.
Nieruchomo, milczący,
Czekając stary leży.

Ten widok gniew ukróca
Wrzący w zwycięzcy łonie:
Wzniesiony miecz odrzuca,
Padłego ściska dłonie.

W tem, wznosząc laskę białą,
Wykrzyka Halwar stary:
«Zadość męztwu się stało!
Czas do jadła i czary.
Dawno już tam na sali
Dym z srebrnych mis się dźwiga;
Ryba, mięso wystyga —
Pragnienie gardziel pali.»

We dwór zatem sosnowy
Idą wrogi zjednane.
Tu to syn Torstenowy
Ujrzał dziwy nieznane!
Nie nago tu, zrębiona
Z pni grubych, ściana stoi;
W złote liście i grona
Miękka ją skóra stroi.

Nie wśród podłogi pryska
Skrami stós z szczap sosnowych;
W kominach marmurowych
Jasne gorzą ogniska.
Dym nie snuł się kłębami,
Z ścian sadze nie ściekały;
Okna były z szybami,
Podwoje klamki miały!

Nie drzazgi tu żywiczne
Jaskrawą świecą łoną;
W srebrnych świecznikach liczne
Wesoło świece płoną.

W pośrodku się na stole
Wznosił jeleń, z kopyty
Złocistemi, na czole
Róg mając w bluszcz obwity.

Rycerzowi przy boku
Każdemu dziewa stała,
Jak wodna lilia biała,
Z gwiazdą w błękitnem oku.
Długich włosów kędzierze
Kryją barki śnieżyste;
Z lic kwitną róże świeże,
Usta — korale czyste.

W srebrnem krześle, wysoko,
Zasiadał Jarl wspaniały.
Jak słońce, ćmiące oko
Hełm jego ciskał strzały.
Złotą na piersiach zbroję,
Płaszcz miał we gwiazdy lite,
Szkarłatne jego kroje
Gronostajem obszyte.

Od stołu kroki trzemi
Przeciw gościowi wstaje;
Witając dłoń podaje.
— «Pozdrowiony bądź że mi»
Woła «Torstena synie!
Niegdyś twój ojciec stary
Spełniał tu ze mną czary —
Weź miejsce jego ninie.»

I czaszę po brzeg leje
Pełno winem, płonącem
Jak niebo, kiedy dnieje,
Jak morza prąd kipiącem.

— «Synu druha starego!
Piję we twoje ręce.
Bohaterskiemu jego
Wspomnieniu czasz tę święcę.»

Od Morwenu więc strony
Śpiewak dźwięk harfy cuci,
I gallickiemi tony
Mglisty swój rapsód nuci.
Po nim w Normanów mowie,
Po starem ojców prawie,
Zaśpiewali Skaldowie
Pieśń o Tortsena sławie.

O ród swój w ojców ziemi
Jarl zatem gościa bada.
Słowami roztropnemi
Frithjof mu rozpowiada.
Z wszystkiego zdaje sprawę,
Mądrej podobny sadze,
Pochwałę i niesławę
Na słusznej dzieląc wadze......

KONIEC.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.